ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 4(76)2022

Z HISTORII KOBRYNIA

ŁUNINIECKIE «LEGENDY GŁĘBOKIEJ SIWIZNY»

PAWEŁ RZEWUSKI «SYN BAGIEN»





W tę świętą noc spełnia się pradawna obietnica. Czas oczekiwania dobiegł końca i Dziewica wydaje na świat Mesjasza. Jezus rodzi się dla ludzkości poszukującej wolności i pokoju. Rodzi się dla każdego człowieka udręczonego grzechem, potrzebującego zbawienia i spragnionego nadziei.

Niemowlę leżące w ubogim żłóbku: oto Boży znak. Mijają wieki i tysiąclecia, ale znak pozostaje i przemawia również do nas, mężczyzn i kobiet trzeciego tysiąclecia. Jest to znak nadziei dla całej rodziny ludzkiej; znak pokoju dla tych, którzy cierpią z powodu wszelkiego rodzaju konfliktów; znak wolności dla biednych i uciśnionych; znak miłosierdzia dla tych, którzy zamknięci są w błędnym kole grzechu; znak miłości i pocieszenia dla każdego, kto czuje się samotny i opuszczony. Jest to znak mały i delikatny, skromny i milczący, ale bogaty w moc Boga, który z miłości stał się człowiekiem.

JAN PAWEŁ II

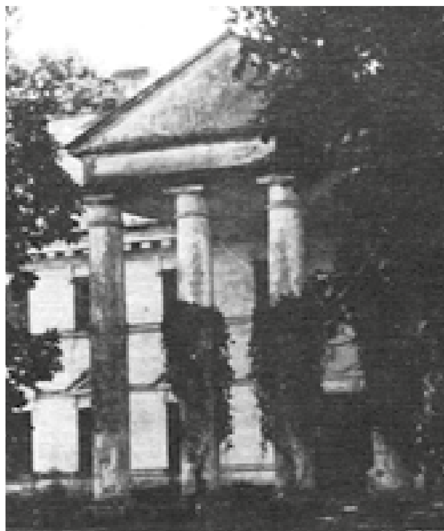
Pasterka w Bazylice św. Piotra, 2002

SPIS TREŚCI









'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
e-mail: echa_polesia@wp.pl

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2021





Projekt «Polska Platforma Medialna Wschód» realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja

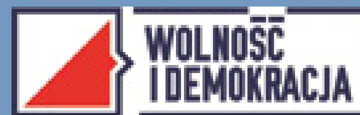


Foto na okładce Wiktor Bosak



Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia
www.echapolesia.pl
www.polesie.org



Katarzyna Witwicka

SKARBY PAMIĘCI I TRADYCJI

Kościół Katedralny



Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
Z ludźmi twymi cale ziobra,
A z furmanką całe nogi:
Podróż była bardzo dobra!

Wincenty Pol
«Pieśń o ziemi naszej»

Największym z polskich województw było poleskie. Przed rozbiorami liczyło około stu tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli prawie tyle, ile trzy Belgie razem wzięte. Po łacinie zwano ten obszar «Tractus Polesiensis». Na mocy traktatu ryskiego przy Polsce pozostała tak zwana mniejsza połowa, ale nazwę «województwo poleskie», nadaną całości w roku 1569 przez Zygmunta Augusta – zachowano. Po drugiej wojnie światowej «Jałta» odebrała Polsce prawie całą resztę Polesia, zostawiając nam jego skrawek, zwany teraz Polesiem Lubelskim.

Polesie (owo z okresu między dwiema wojnami) – to bagna, moczary, trzęsawiska, grzęzawiska, zaś wszystkie te odmiany mokrości zwano tam po prostu błotami. Miejsca położone nieco wyżej, a więc suchsze, nazywały się hała. Jednak i na nich domostwa często budowano na palach, a poniektórzy flisacy chatę mieli po prostu na łodziach.Jak odcięte od świata były takie siedziby ludzkie świadczy fakt, że wszechwiedząca i wszechdocierająca – zdawałoby się – administracja carska o wielu z nich jeszcze w dziewiętnastym wieku nie wiedziała! «Tamtejsi» – jak wiadomo, Poleszucy, ci rdzenni, wywodzący się ponoć od Derewlan, nie przyznawali się do żadnej narodowości i mówili o sobie «my tutejsi» – otóż oni znali przesmyki między błotami lub po prostu czekali na ostrą zimę i do większych skupisk – na przykład, po zakupy – przedostawali się po zamarzniętej bagiennej powierzchni.

Z ostrej zimy roku 1627 skorzystali

Tatarzy. Wtargnęli na Polesie, «spustoszenie roznosili», dotarli pod wały obronne Pińska. (Nazwa miasta wywodzi się podobno od łacińskiego słowa «pinus», które między innymi, znaczy «sosna», bo jakoby z



Kościół i Klasztor Jezuitów

tych okolic Rzymianie sprowadzali sosnowe pnie na okrętowe maszty). «Powetował tej napaści książę Ostrogski, rozgromiwszy niedaleko Pińska najezdnicze hordy». Do melioracji Polesia pierwsza zabrała się królowa Bona, która w 1523 dostała od męża Pińsk z zamkiem i wieloma okolicznymi dworami. Można powiedzieć – prezent zaiste królewski.

Dobra pamięć o Bonie przetrwała na Pińszczyźnie długo. Z jej polecenia kopano tam rowy (czyli kanały), a jeden z nich, długości sześciu wiorst (to znaczy około dziewięciu kilometrów) ciągnął się od Pińska do Stetyczów. Niewykluczone, że do owego «kopania rowów» skłoniła królowę przygoda, w której jej karoca – razem z nią! – omal nie utonęła w błocie... Wszakże szczególnie upamiętniła się Bona Prużanie, zmieniając ją z osady w miasteczko. Zaś Anna Jagiellonka, córka Bony, nadała miastu w roku 1588 herb, będący herbem Sforza. Aż do drugiej wojny światowej, bądź co bądź przeszło trzysta pięćdziesiąt lat, herb ten służył Prużanie jako pieczęć miejska.

Pina, nad którą powstał Pińsk, ma około osiemdziesięciu siedmiu kilometrów długości i jest pod tym względem czwartą rzką Polesia. Prócz statków parowych pływały po niej: bajdaki, barki, duszehubki, łyżwy, obijaniki, półbarki, szuhaleje...

Piątego maja 1706 r. zjawił się w Pińsku król szwedzki, Karol XII. Był to epizod jego wojny z Moskwą, zwanej wojną północną, którą zresztą przegrał. Na razie, zaledwie zsiadłszy z konia, wbiegł na dzwonnicę kościoła jezuickiego, by przyjrzeć się otaczającej miasto «dziwnej okolicy». «A spostrzegłszy nieścignione okiem błota i wody,

zawołał: otóż to moje non plus ultra!» Kazał reperować mosty i inne przeprawy, ale gdy po dziesięciu dniach nic z tego nie wychodziło – o północy, chyłkiem, konno i tylko w towarzystwie księcia Wirtemberskiego – z Pińska wyjechał.

Kilkadziesiąt lat później, w roku 1784, zawitał do Pińska – drogą wodną, na ozdobnych łodziach i z liczną świtą – Stanisław August. Z okien apartamentu, jaki mu w swym kolegium przygotowali ojcowie jezuici, przyglądał się król okolicznej »»»

»»» szlachcie, która tłumnie, na przeróżnego rodzaju pływającej lokomocji, przybyła, by go powitać. Zapewne ani on, ani oni nie przypuszczali, że to właśnie pożegnanie ostatniego polskiego monarchy.

Stanisława Augusta gościł też Mateusz Butrymowicz. W pozostałym po nim i istniejącym aż do wybuchu drugiej wojny archiwum, znajdował się plan dworu, jaki zamierzał wybudować, w jednym ze swych majątków, na cześć żony nazywanym Krystynopolem. Na tym planie Stanisław August własnoręcznie napisał życzenia szczęścia.

Niestety, na dłuższą metę życzenia nie spełniły się: dwór i majątek przeszły po powstaniu styczniowym w ręce rosyjskie.

Mateusz Butrymowicz nie był rodowitym Poleszukiem, ale w Polesiu zakochał się i wżenił w nie. W przenośni i dosłownie, bo jego żoną była, urodzona w Pińsku, panna Szyrmianka. Butrymowicz zdziałał dla Polesia wiele. Między innymi z jego pomocą powstał słynny kanał imienia księcia Ogińskiego. Ale za ukoronowanie przedrozbiorowej działalności Butrymowicza uważa się wybudowanie grobli łączącej «głąb

Pińszczyzny z Pińskiem». Ukończono ją w roku 1783, a w następnym, z okazji bytności króla, dokonano uroczystego jej poświęcenia, co uświetniono okazałą fetą.

Butrymowicz, zgnębiony rozbiorami Polski, nadal mieszkał w Pińsku. Zmarł w roku 1814. Jego potomkowie mieszkali tam jeszcze w latach trzydziestych naszego wieku i była w Pińsku ulica jego imienia.

Z klasztorem i kościołem ojców jezuitów w Pińsku wiąże się zabawna bajeczka. Zakon ten sprowadzony został do Pińska w 1631 r., zaś książę Albert Stanisław Radziwiłł wzniósł mu wspaniałe, murowane, trzypiętrowe kolegium oraz kościółek. Pewnego dnia, w trakcie budowy, robotnik osunął się i zaczął spadać. Rozległy się krzyki o ratunek. A właśnie przechodził tamtędy braciszek zakonny, laik (to znaczy, nie mający jeszcze święceń), słynący z czynienia cudów. Czynił ich tak wiele, że ksiądz rektor w obawie, by ludziom nie spowszedniały, zakazał mu tego. Teraz więc brat odparł, iż pomóc nie może, bo mu nie wolno... (Swoją drogą, robotnik musiał spadać powoli, skoro był czas na pogawędki!) Jednak dodał:

– Czekajcie, pójdę, poproszę o pozwolenie.

Gdy wymawiał słowo «czekajcie», spadający zawisł w powietrzu i czekał nieruchomo na powrót laika. Ten przybiegł co tchu z pozwoleniem i nieszczęśnika ocalił. Nie wiadomo jednak, czy – mocą cudownego działania – wyniósł go z powrotem na stanowisko pracy, czy ostrożnie osadził na ziemi...

Natrafiłam na trzy wersje w jaki sposób przestał istnieć kościół ojców jezuitów w Pińsku. Ta z nich, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna, mówi, że dwudziestego września 1939 r. – z wieży kościoła zaczęto strzelać do wkraczającej do miasta Armii Czerwonej. Prawdopodobnie był tam polski wojskowy punkt obserwacyjny.

W odpowiedzi z dołu też poleciały pociski. Ryszard Kapuściński wspomina (miał wtedy siedem lat), że sowieci długo i uparcie, choć nie zawsze celnie – ostrzeliwali wieżę z jakiejś zdezelowanej armaty. Jeżeli tak rzeczywiście było, to może broniła się tam polska załoga? Bo do pustej wieży przecież by nie strzelano... Klęską Polaków skończyć się musiało, ale szczegółów nie podano.

Przez następne lata wojny wewnątrz kościoła powstawały pożary, aż w sierpniu roku 1953 to «wspaniałe dzieło architektury barokowej» – jak piszą o pińskim kościele jezuitów Białorusini – zostało wysadzone.

Nawiązując raz jeszcze do Piny, to odegrała ona – wraz ze swymi wodnymi połączeniami – ważką rolę w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Po zdobyciu przez Polaków Pińska w marcu 1918 r. (potem przechodził jeszcze z rąk do rąk) korzystanie z rzek Polesia jako szlaków komunikacyjnych stało się konieczne. Brakowało do tego rzeczy podstawowych: środków przewozu rzecznego i załóg obeznanych z dorzeczem Prypeci. Wkrótce jednak zgłosił się Jan Giedroyć (były oficer wojennej marynarki

rosyjskiej) i, na bazie sprzętu porzuconego przez Niemców w Pińsku, utworzył zespół motorówek dla służby transportowej i rozpoznawczej. Od rzemyczka do koniczka i już dziewiętnasty kwietnia 1919 r. przyjęto za datę powstania Flotylli Pińskiej.

Przyszły dni niepowodzeń lokalnych oraz pogarszała się ogólna sytuacja wojsk polskich, bo czwartego lipca Tuchaczewski ruszył na Warszawę. To zapowiadało konieczność wycofania się Polaków z Pińska. A tu znowu – czy nadal – brakowało tego, co niezbędne: drewna opałowego i smarów. Poza tym były upały i poziom wód opadał zastraszająco. Na pewnym odcinku Piny wyłoniło się trzynaście mielizn o łącznej długości około czterech kilometrów. W Kanale Królewskim woda spadła do poziomu dwudziestu centymetrów! Sprowadzone na gwałt pogłębiarki nie dawały rady – statki mogły posuwać się z szybkością dziesięciu kilometrów na dobę... Część z nich spalono, inne zatopiono. Po wojnie niektóre udało się wydobyć i doprowadzić do stanu używalności. (W dwadzieścia lat później pewne fragmenty tej sytuacji prawie się powtórzyły. Różnica polegała na tym, że znowu niegłęboko zatopione statki wydobyli i usprawnili na swój użytek «ludzie radzieccy»).

Rzecz jasna, że walki toczyły się i na lądzie. W ich trakcie wyrywano sobie, nawzajem, Pińsk. W okresie tych walk zasłynął generał Stanisław Bułak Bałachowicz. Zwano go ostatnim Kmicicem polskim, zaś najlepiej chyba charakteryzuje go opinia marszałka Józefa Piłsudskiego, wyrażona w liście do Karola Wędziagolskiego, oficera łącznikowego z wojskami «białych» Rosjan, walczących na terenie Polski z bolszewikami. Cytuję ze skrótami: «Nie szukajcie w nim cech sztabowego generała... Jest to typowy warchoł i partyzant, lecz doskonały żołnierz... Bije bolszewików w wielu wypadkach lepiej od sztabowych generałów. ...Dajcie mu być sobą, bo innym być nie potrafi».

Wojsko generała Bałachowicza to się rozrastało, to kurczyło. Za uzbrojenie miało broń francuską, niemiecką, rosyjską, a nawet... japońską. Ludzie w nim, przedstawiciele wszystkich narodowości spotykanych na Polesiu, też byli rozmaici. Jedni szli walczyć z pobudek patriotycznych, inni szukali przygody lub schronienia przed wyrokami sądowymi. Generał trzymał tę zbieraninę w ryzach, występki karał surowo – do sądów polowych włącznie, ale o swoich ludzi dbał. Ponoć nawet czytywał im gazety i... opowiadał bajki. Prawdy dzisiaj się nie docieczе, jednak musiał generał mieć mir u podkomendnych, skoro nazywali go bat’ką.



Monaster Leszczyński

Sława «niezwyciężonego» była jego forpocztą. Zdarzyło się, że z jednej z małych poleskich miejscowości na wieść o nadciągających wojskach Bałachowicza – uciekła załoga bolszewicka. Dowódca pozostawił po sobie, w oknie zajmowanej kwatery, suszące się gacie. Ano, Bohun przed Wołodyjowskim uciekał z chłopskiego chutoru w samych jeno hajdawerach...

Przyszedł rozkaz zdobycia Pińska. Jego sowiecka załoga liczyła około dwóch tysięcy żołnierzy, czterystu oficerów, poza tym stacjonował tam sztab czwartej armii bolszewickiej. W ciągu paru dni zniesiono nieprzyjacielskie oddziały osłonowe, w wagon z amunicją trafiono z armaty, co unieszkodliwiło cały pociąg pancerny. I dwudziestego szóstego września o czwartej po południu Pińsk wzięto przez zaskoczenie. Do niewoli trafił sowiecki sztab, całe dwa tysiące żołnierzy i wszyscy oficerowie. »»»

Większość sowieckich komisarzy zastrzelono na miejscu, w licznych, naprędce przez nich zorganizowanych urzędach. Bowiem bałachowcy komisarzy bolszewickich «przeważnie do niewoli nie brali».

Zdobycz materialna też była pokaźna. Kasy, masa materiału wojennego, magazyny z żywnością i umundurowaniem, trzy lokomotywy oraz dwieście wagonów osobowych i towarowych pełnych wszelakiego dobra przeznaczonego do wywiezienia. A trzydzieści tysięcy par wspaniałych żółtych butów i kilka tysięcy półkożuszków bardzo przydało się bałachowcom, którzy bez przerwy byli w marszach i bojach.


Pińsk i Pińszczyzna.

Ale wiadomo: na wojnie, jak na wojnie – pod Mozyrzem się nie udało, trzeba było dokonać sztuki przedostania się z powrotem w głąb kraju. I na tym odwrotowym szlaku generał Bałachowicz pokazał, co potrafi. «Znakomite wyprowadzenie (...) z matni małego oddziału jaskrawo zarysowuje jego zdolności dowodzenia» – raportował jeden z generałów.

Zdolności zdolnościami, a nie wiadomo, co by było, gdyby nie Matka Boska.

Matnia, w którą się generał ze swym oddziałem zapędził, polegała na tym, że z trzech stron były trzęsawiska, nie wytrzymujące ciężaru człowieka – po polesku zwane zabunami – zaś z czwartej, którą tu weszli, teraz stali ścigający ich bolszewicy. Bitwy wydać nie można: nie pozwalał na to ani teren, ani siły oddziału. O poddaniu się też nie było mowy. Dni mijały, kończył się prowiant dla ludzi, furaż dla koni.

I oto pewnej nocy przyśniła się generałowi Matka Boska. Powiedziała – najczystszą polszczyzną i od razu per ty:

– Durniu, przecież tu jest ścieżka! – i pokazała mu ją.

Generał obudził się, kazał otrąbić pobudkę przez munsztuk, opowiedział żołnierzom swój sen i zapytał, czy zgadzają się pójść tą drogą. Innej nie było, a że bat'ce ufali, zgodzili się. A on ich wyprowadził, zaś przezwisko Dureń Matki Boskiej przylgnęło doń i bodaj czy nie wyparło poprzednie Kmicic redivivus.

Generał Bułak Bałachowicz został w czasie okupacji zastrzelony przez Niemców przed domem, w którym mieszkał w Warszawie na Saskiej Kępie. Wtedy krążyła wersja, że ostrzeliwał się z jakichś ruin, ostatnią kulę zostawiając dla siebie. Legendy nie porzucają tych, których raz otoczą.

W tak skrótowym tekście nie sposób opisywać tego, co działo się na całym Polesiu i w samym Pińsku w czasie drugiej wojny światowej. Konspiracja i partyzantka kwitły tam «na całego», dokonywano – w większości udanych – bohaterskich i na pozór niemożliwych czynów. Jak na przykład, brawurowe uwolnienie z pińskiego więzienia

Mariana Przysieckiego, czy setek innych, przeróżnych akcji dywersyjnych. Nierzadko opłacanych życiem, a nieraz i męczeństwem.

I jeszcze fragment pięknego opisu Pińska z roku 1787:

«Położenie miasta, jak jest najpomyślniejsze, tak i na widok najpiękniejsze; gdyż z jednej strony rozległe pól płaszczyzny na kilka mil ciągnące się, a z drugiej, z węzła rozmaitych rzek wylew tworząc na kształt morza, sprawuje najprzyjemniejszy miasta prospekt. Prócz tej szczęśliwości, którą

sama zdarzyła natura, taki jest dowóz i taniość płodów z Wołynia i Polesia, jak trudno w innem miejscu i mieście, prócz Ukrainy, znaleźć. (...) Spodziewać się należy polepszenia wkrótce losów Pińska, stojąc bowiem na gościńcu, w środku zbiegu i połączenia kanałami rzek portowych, które handel przychodowy z Bałtykiem na Czarne Morze tworząc, koniecznie musi czynić marynarzom przystanowisko. Już tu przybywają różne statki, jak to: bajdalki i wielkie szuhaleje z Czarnobyla i Kijowa, naładowane mydłem, zbożem, łojem i innemi towarami (...)».

Dziś brzmi to jak epitafium.

Żeby jednak nie kończyć tego wieczoru takim smutkiem i żalem, przytoczę jedno z moich własnych wspomnień z krótkiego pobytu w Pińsku, w roku 1932. Byłam tam z matką, u wuja, świeżo upieczonego wdowca po siostrze mego ojca. Odziedziczył po niej, między innymi, dwa psy. Suka Czoła (nie wiem, jakiej rasy) była tłusta i ociężała, a bokser Ful... O nim można by napisać spory rozdział, ale tu opowiem tylko jedną z jego niezwykłych, lecz prawdziwych przygód.

Pewnego razu wybiegł – jak zwykle rano – z domu i nie było go przeszło dwa dni. Zachodzono w głowę, co się mogło stać. Służące wuja (miał ich dwie) chodziły po całym mieście (jak się okazało – nie po całym...) i wypytywały, czy ktoś nie widział Fula, kiedy i gdzie widziano go ostatnio... W domu mówiło się tylko o nim, wszyscy byli podenerwowani, a wuj podwójnie, ponieważ denerwował się, że się denerwuje. Nie brano w ogóle pod uwagę, by ktoś z miejscowych mógł psa skrzywdzić, bo Ful był popularny, łubiany, no i należał do wiceprezesa Sądu Okręgowego w Pińsku. (Niektórzy, zwłaszcza Żydzi, zwracając się do wuja, mówili: «Proszę wysokiego pana sędziego», myląc go z «Wysokim Sądem»). Krzywda wyrządzona Fulowi wydałaby się, a chyba nikt nie chciałby znaleźć się w skórze winowajcy. Drugiego dnia nieobecności Fula wuj uruchomił policję, a trzeciego dnia po południu jakiś żołnierz (w Pińsku stacjonował osiemdziesiąty czwarty pułk Strzelców Poleskich) przyprowadził Fula na smyczy.

Ful szedł przy nodze żołnierza, z łbem spuszczonym, prawie wtulonym między łapy, które przestawiał z trudem. Wuj wyszedł na ganek i zaczął żołnierza wypytywać.

Z jego nieśmiałych dukań okazało się, że Ful często wpadał do koszar i był tam mile widziany. Nie wiedziano, jak się nazywa, więc nadano mu jakieś imię, na które reagował. A przedwczoraj, jak przybiegł, to była akurat jakaś uroczystość pułkowa...

– Tak żołnierze z serca ucieszyli się i zatrzymali go jako honorowego gościa. Głodu tak on na pewno nie miał, nawet wódką my go potraktowali... Był okrutnie wesoły i wcale wracać mu nie chciało się. Tak my go i nie wyganiali, gdzież honorowego gościa przeganiać...

– I co dalej? – zapytał wuj, zupełnie osłupiały.

– My nietutejsi – mówił żołnierz – tak my nie znali, czyj to pies, gdzie go odprowadzić i czekali, sam poleci albo ktoś się zgłosi. No i dzisiaj rano policjant przyszedł i powiedział...

Wuj dał żołnierzowi tak zwane parę groszy za odprowadzenie psa, żołnierz odpiął smycz, na pożegnanie poklepał Fula. Ale ten się nie ruszył.

– Na miejsce! – krzyknął wuj i tupnął nogą.

Ful przemknął koło niego i zniknął w mieszkaniu. Żołnierz jednak nie odchodził.

– Czego jeszcze? – zapytał wuj niecierpliwie.

– Ja by prosił – zaczął żołnierz – to znaczy w imieniu całego pułku, mnie koledzy prosili, żeby ja poprosił – plątał się onieśmielony – żeby tego psa nie karać, tak on nic nie winien...

Wuj machnął ręką i wszedł do pokoju. A Ful, zwinięty w ciasny kłębek, spał już na swym posłaniu, głębokim snem skacowanego hulaki.

W KOBRYNIU NA WESELU


Kazimierz Jagiellonczyk wg Matejki

Kazimierz Jagiellończyk zasiadał na polskim tronie przez 45 lat, zajmuje pod tym względem trzecie miejsce w historii. Liderem jest tu tatuś, Władysław Jagiełło, do którego Kazimierz – wbrew plotkom o niewierności matki, Sonki Holszańskiej – był fizycznie bardzo podobny. Wydarzenia, które przychodzi obecnie opisać, miały miejsce w roku 1480. Oto Kazimierz Jagiellończyk i Polska przeżywają znakomite czasy. Kilkanaście lat wcześniej zakon krzyżacki został pokonany, w ręce króla wpadł Malbork, a osłabiony wielki mistrz, przegnany do Królewca, nie stanowi zagrożenia dla Polski. Królem Czech jest najstarszy syn Kazimierza, Władysław, który zresztą ojcu i dziadowi do pięt nie dorasta (w przyszłości Węgrzy nadadzą mu pogardliwy przydomek Dobzse, bo tak zapisywali ulubione słowo króla, który nigdy nie miał własnego zdania). Następcą tronu w Polsce jest za to królewicz Kazimierz, rozważny, mądry i spokojny, skromnie tytułujący się Secundogenitus Regni Poloniae. Wspiera i zastępuje niekiedy ojca, niestety jest chorowity. Ale w rezerwie pozostaje rycerski i fantazyjny Jan Olbracht i trzej młodsi synowie. Kraj jest bogaty i żyje w pokoju. Rozwija się kultura i sztuka, powstają piękne budowle. A jednak niezadowoleni się zawsze znajdą…

Królowi Kazimierzowi zawsze bliskie było Wielkie Księstwo Litewskie, od którego rozpoczął swe panowanie. W roku 1478 postanowił udać się na dłuższy czas na Litwę. Pozostał tam przez dwa lata, z Kazimierzem i Janem Olbrachtem u boku. Jak daleko sięgało księstwo, najlepiej świadczy fakt, że od roku 1471 istniało w nim województwo kijowskie. Pierwszym wojewodą w dzisiejszej stolicy Ukrainy był Marcin Gasztołd, który jednak jako Litwin miał trudności z zarządzaniem województwem zamieszkałym przez Rusinów, jak wówczas nazywano Ukraińców. Poprosił króla o dymisję. Kazimierz pomyślał i w roku 1480 przeniósł Gasztołda do bliższych mu Troków. Wojewodą kijowskim uczynił zaś Rusina, Jana Chodkiewicza, założyciela sławnego rodu, który miał wydać dwóch wielkich hetmanów litewskich – Hrehorego (Grzegorza) i Jana Karola Chodkiewiczów.

Wybór Chodkiewicza nie wszystkich jednak ucieszył. Jednym z najbardziej oburzonych był książę Michał Olelkowicz. Był przecież bliskim krewnym króla: jego dziad po mieczu, książę Włodzimierz był starszym bratem Władysława Jagiełły! Dla księcia Michała poddanie go władzy chudopachołka Chodkiewicza było zatem śmiertelną obrazą. Jednak takich krewnych król miał w Wielkim Księstwie na pęczki. Jagiełło miał aż trzynastu braci, sam był dopiero dziewiątym według starszeństwa synem (to ojciec Olgierd na następcę wybrał właśnie jego i jak wiemy, miał rację) a kilku innych Olgierdowiczów założyło własne rody. A Michałowi król po prostu nie ufał i miał powody. Michał był jawnym przeciwnikiem unii polsko-litewskiej, dążył do suwerenności Wielkiego Księstwa, a sojusznika dla niego widział w Moskwie. Gdy przez pewien czas jako namiestnik rządził księstwem Nowogrodu Wielkiego, myślał tylko o własnych korzyściach: umożliwił podbój księstwa wielkiemu księciu moskiewskiemu Iwanowi III Srogiemu, a sam uciekł do Kijowa. W efekcie po 340 latach istnienia Nowogród Wielki, księstwo czy raczej republika o dość skomplikowanym statusie, upadł w 1478 r., podbity przez Moskwę. Trudno się więc królowi dziwić.

Michałowi od dawna marzyło się samodzielne Wielkie Księstwo Litewskie. Na tronie oczywiście widział prawnuka wielkiego księcia Olgierda, czyli siebie. Zaczął szukać sojuszników. Jego wiernym przyjacielem był od lat kniaź Iwan Holszański. Holszańscy, ród kniaziowski pochodzący



Napoleon Orda.
Kobryń 1864

z Litwy, osiedli od paru pokoleń na Rusi Kijowskiej. Z tego rodu pochodziła matka króla Kazimierza, zatem Iwan też był jego kuzynem. Z Michałem Olelkowiczem był związany od lat, razem brali udział w awanturze nowogrodzkiej. Cele mieli wspólne, więc oczywiste było, że działać będą razem.

Bez większego trudu zwerbowano też kolejnego uczestnika spisku. Był nim książę Fedor Bielski, stryjeczny brat Michała. Ojciec Michała, Aleksander zwany był Olelko, toteż Michał przyjął nazwisko Olelkowicz. Iwan, młodszy brat Olelki, sam przyjął dla swego rodu nazwisko Bielski od rodowej siedziby, którą była Biała nad Obszą (dziś Biełyj, leżący w Rosji). Jego syn Fedor (po polsku Teodor) ochoczo przyłączył się do brata stryjecznego. Wszak kolejka do tronu wielkoksiążęcego mogła się różnie ułożyć, a gdyby coś nie tak było z potomkami Michała, to najbliższym krewnym był on…

Kniaziowie więc spiskowali, a tymczasem wielkie rzeczy działy się w księstwie moskiewskim. W listopadzie 1480 r. Iwan III Srogi wyzwolił swój kraj z kilkusetletniej zwierzchności Wielkiej Ordy Mongolskiej. Miał wówczas miejsce tzw. impas nad Ugrą. Iwan III odmówił zapłacenia Ordzie kolejnego haraczu, więc wielki chan Achmet ruszył z wojskiem na Moskwę. Iwan III ustawił mocne linie obronne, Achmet kluczył i próbował przejść rzekę Ugrę, ale Moskale mieli broń palną i chan zaniechał forsowania. Z pomocą miał przybyć sojusznik chana… Kazimierz Jagiellończyk z siłami litewskimi. Wzięty w kleszcze Iwan III nie miałby szans, jednak król Polski nie udzielił pomocy skośnookiemu druhowi. Iwana uratowała krótkotrwała wojna popia, toczona przez króla Polski z osłabionym zakonem krzyżackim o biskupstwo warmińskie. Wojna związała siły królewskie i choć król ją wygrał, to nie zdążył udzielić pomocy przeciwko Moskwie. W efekcie ani chan Achmet, ani Iwan III nie zaatakowali i zawrócili swe armie znad Ugry. Iwan III jednak nie zapłacił »»»



Napoleon Orda.
Kobryń 1864, Kościół Wniebowzięcia Naiświętszej Marii Panny

haraczu i tym samym zrzucił zwierzchnictwo Ordy. A było już tak blisko ustanowienia granicy polsko-mongolskiej na Uralu…

Iwan III Srogi, wzmocniony moralnie i finansowo, bo zaoszczędził dużą kasę, cichcem postanowił wesprzeć spiskowców kijowskich. Michał Olelkowicz i Iwan Holszański wystawili mu przecież na podbój Nowogród Wielki, Kazimierz Jagiellończyk zaś był mu jawnym wrogiem. Teraz trzeba było pozbyć się króla. Kazimierz cały czas przebywał w Wielkim Księstwie: stąd kierował wojną popią, bo było mu bliżej. Poza tym Litwa była bliska jego sercu. Potrzebna była tylko okazja, żeby króla gdzieś dopaść.

Okazja nadarzyła się w kwietniu 1481 r. Fedor Bielski postanowił się ożenić. Nie był bynajmniej młodzikiem, miał około 55 lat, niedawno owdowiał po śmierci swej pierwszej żony Anny Riazańskiej, która zmarła około czterdziestki, pozostawiając mężowi syna Dymitra. Na drugą żonę Fedor upatrzył sobie młodą pannę, kniaziównę Annę Kobryńską. Kobryńscy też byli potomkami Olgierda – chyba pół Litwy miało jurnego kniazia za przodka – a wywodzili się od najstarszego z jego synów, Fedora, będącego także protoplastą Sanguszków i Hurkowiczów. Pobierali się więc wnuk i prawnuczka Olgierda, prawdziwi Giedyminowicze. Oczywiste zatem, że zaprosili na swój ślub także największego Giedyminowicza, króla Kazimierza. Ślub miał się odbyć w Kobryniu 15 kwietnia 1481 r., w Niedzielę Palmową. Spodziewano się, że król zjedzie na wesele krewniaka w towarzystwie synów – Kazimierza i Jana Olbrachta.

Ślub przygotowano bardzo starannie. Spiskowcy spodziewali się, że król przybędzie z odpowiednią świtą, zatem trzeba było zaatakować z zaskoczenia. Dokładnie i drobiazgowo udekorowano salę weselną. Rozwieszono i umocowano wszędzie zdobne tapiserie. Oczywiście wymagało to pracy odpowiednich fachowców, których w tym celu sprowadzono. Chyba jednak niewystarczająco sprawdzono ich dyskrecję…

Oto bowiem na krótko przed weselem

do królewskiej siedziby na Litwie przyprowadzono jakiegoś człowieka. Ten, jak się okazało, przyniósł ostrzeżenie: w sali balowej, pod dekoracjami ukryta jest broń, to zapewne spisek przeciwko królowi! Lojalnym poddanym okazał się jeden z dekoratorów – tapicerów. Kazimierz Jagiellończyk potraktował bardzo poważnie informację i starannie przemyślał kontrakcję. Tuż przed weselem państwo młodzi otrzymali wiadomość: Jego Majestat niestety nie przybędzie, właśnie poczuł się wielce strudzony po łowach, musi dbać o zdrowie. Tymczasem król przystąpił do działania. Na początek błyskawicznie odjechał z rejonu, w którym polował przed przybyciem na wesele i wrócił do Wilna. Ewakuację królewskiej rodziny przygotował ponoć Michał Buczacki, potomek sławnego jeszcze z czasów piastowskich rodu Awdańców, starosta śniatyński. Zaraz po tym Kazimierz odesłał obu synów, którzy mu towarzyszyli, do Polski. Kazimierz dostał też od razu polecenie osobistego sprawowania władzy w Koronie. Obrał sobie na rezydencję zamek w Radomiu i przez dwa lata zarządzał w imieniu ojca Polską, zapisując się doskonale w historii.

Gdy królowi nie groziło już osobiste niebezpieczeństwo, polecił ścigać spiskowców. Poszło szybko. Michał Olelkowicz i Iwan Holszański zostali w więzach sprowadzeni do Wilna. Proces król polecił przeprowadzić Marcinowi Gasztołdowi. Wojewoda trocki znał jak złe szeląg Olelkowicza i Holszańskiego. Zupełnie bezstronny może nie był, ale na pewno miał rozeznanie w sprawie. Proces przebiegł szybko i sprawnie, dowodów było aż nadto. Udało się ujawnić wszystkie plany zamachowców. Zginąć miał, zarąbany przez spiskowców w sali balowej, król Kazimierz i jego dwa starsi synowie. Królowa Elżbieta miała zostać uwięziona, jako Habsburżanka byłaby cenną zakładniczką. Wyrok za usiłowanie królobójstwa i próbę zamachu stanu na Litwie mógł być tylko jeden. 31 sierpnia 1481 r. głowy Michała Olelkowicza i Iwana Holszańskiego spadły z katowskiego pnia.

Trzeci z głównych spiskowców, Fedor Bielski, wyczuł lepiej sytuację i zdołał uciec w jedyne bezpieczne miejsce: do Moskwy. Uciekł jednak sam i nie zabrał ze sobą świeżo poślubionej małżonki. Król Kazimierz zakazał zatem pani Annie Bielskiej de domo Kobryńskiej opuszczania granic Rzeczypospolitej. Fedor, obdarowany przez Iwana III Srogiego licznymi nadaniami, usiłował sprowadzić z Litwy żonę, w jego imieniu prosił o to nawet sam książę Iwan. Kazimierz oczywiście pogardliwie odmawiał swemu niedoszłemu zabójcy, żałując, że ten zdołał się schronić na dworze wroga. Po kilku latach Bielskiemu udało się jednak cichcem ściągnąć żonę do Moskwy, a ta urodziła mu dwóch jeszcze synów. Ród Bielskich pozostał w księstwie moskiewskim i stopniowo się zrusyfikował. Tylko najmłodszy syn zamachowca, Semen Bielski, choć urodzony w Moskwie, postanowił wrócić na Litwę, by służyć królowi Zygmuntowi Staremu. Być może wpływ na to miał fakt, że jego matka, księżna Anna, już jako wdowa (zamachowiec Fedor zmarł w 1506 r.) odziedziczyła całe księstwo kobryńskie, będąc ostatnią przedstawicielką rodu. Wróciła w rodzinne strony i jako dama po pięćdziesiątce wyszła ponownie za mąż za Wacława Kostewicza, marszałka królewskiego, który po ślubie z nią został dzierżawcą dóbr kobryńskich.

Zamach Michała Olelkowicza i jego wspólników jest najbardziej znaną próbą zgładzenia Kazimierza Jagiellończyka. Na króla próbowano zasadzać się więcej razy, ale żaden inny zamach nie został tak dokładnie opisany, zapewne zdecydowało wysokie urodzenie spiskowców. Można też zaznaczyć, że o ile wcześniejsi władcy Polski, Piastowie, a nawet Władysław Jagiełło utrzymywali niekiedy ze wschodnimi sąsiadami przyzwoite stosunki, o tyle dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów w czasach Kazimierza Jagiellończyka księstwo moskiewskie, również za sprawą udziału w spiskach takich jak opisany, stało się definitywnie jawnym wrogiem. I jak wiadomo, tak zostało na wieki.

MACIEJ STRĄCZYŃSKI



Kobyń, 14 lipca 1941 r.
Foto: berlin.muzeum-digital.de

SPRAWIEDLIWI Z KOBRYNIA

Nie wiadomo, czy księży stracono na początku, czy na końcu masowej egzekucji. Nie wiemy, jak zachowywali się przed śmiercią. Czy coś powiedzieli, czy też przyjęli swój los w milczeniu i cichej modlitwie? Dość że obaj spoczęli w ziemi razem z Żydami, których dzieci chcieli uratować.
Umęczonych więzieniem, skatowanych kapłanów postawiono na czele pochodu. Z miasta do Lasku Borysowskiego jest dobre kilka kilometrów szosą. Całą tę trasę pięć tysięcy ludzi przeszło piechotą. Na piaskowym wzgórzu czekały już na nich dwa duże doły. Wykopali je chłopi, spędzeni tutaj z pobliskiej wsi Chidry. Postronnych świadków zbrodni nie było.

MAŁY LWÓW

Wiemy o nich niewiele. Nie poświęcono im opracowań ani dokumentalnych filmów, jesteśmy więc zdani na okruchy ich życiorysów. Ksiądz Jan Wolski, rocznik 1887, był proboszczem kobryńskiej parafii jeszcze przed wybuchem wojny. Jego wikariusz, Władysław Grobelny, to człowiek młodszy o całe pokolenie, urodzony w pierwszym roku istnienia niepodległej Polski. Do parafii w Kobryniu przyszedł prawdopodobnie prosto z seminarium.

Nie mają nawet grobu. Niedaleko kościoła, nad rzeczką Muchawiec, stoi co prawda murowany pomniczek z wykutymi w kamieniu nazwiskami obu męczenników. Ale to grób symboliczny. W 1944 r., gdy do Kobrynia zbliżał się front sowiecki, Niemcy kazali wykopać szczątki rozstrzelanych, które spalono w pobliskiej stodole.

Kobryń, leżący dziś na Białorusi, przed wojną był średniej wielkości powiatowym miasteczkiem. Polaków mieszkało tam niewielu, ot, kilka tysięcy, ale polskie życie biło tam mocnym tętnem. Ton nadawała inteligencja, rodziny urzędników i nauczycieli.

Nowo zbudowane gimnazjum imienia Marii Rodziewiczówny, pisarki pochodzącej z niedalekiej od Kobrynia Hruszowej, do końca swego istnienia zdążyło wypuścić w świat dziesięć roczników solidnie wykształconej i patriotycznie wychowanej młodzieży. Gdy we wrześniu 1939 r. pod miasto podeszły wojska niemieckie, a Kobryń przez kilka dni stanowił dla nich mocny punkt polskiego oporu, gimnazjaliści sformowali ochotniczą kompanię, która wzięła udział w obronie, obok regularnych formacji wojskowych oraz starszych kolegów-ochotników, studentów Legii Akademickiej.

Obrońcy skazani byli jednak na przegraną. Od wschodu stały już pod miastem czołgi i piechota Armii Czerwonej, by objąć w posiadanie tereny, przyznane Sowietom w tajnym porozumieniu Hitlera ze Stalinem. Zwycięscy Niemcy byli tu krótko, zaledwie jeden dzień. Po nich, 21 września, wkroczyli do Kobrynia kolejni okupanci.

PIWNICA POD ZAKRYSTIĄ

Sowiecka władza trwała tu do czerwca 1941 r., kiedy to błyskawicznym, szerokim zagonem znowu zajęły miasto oddziały niemieckie. Hitlerowcy utworzyli tutaj dwa getta. W tym oznaczonym literą «A» skupili wszystkich zdolnych do pracy oraz ich rodziny. Do getta «B» trafili, jako «bezproduktywni», ludzie starzy i chorzy. Wszyscy wiedzieli, jaki los przeznaczono gettu «B», dlatego wielu Żydów początkowo próbowało przedostać się do getta «A». Ale zapobiegliwi Niemcy otoczyli je drutem kolczastym. Getta «B» nie zamknięto, bo jego mieszkańcy nie mieli dokąd uciekać. Szybko zostali rozstrzelani.

Jesienią 1942 r. wszystkie kobryńskie wróble ćwierkały już o tym, że dni getta «A» są policzone. Mimo drutów, parafii udało się zachować jakiś kontakt z Żydami, ale nie wiemy, czy do księży zgłosili się rodzice, czy też same dzieci szukały u nich ratunku. Pewne jest tylko to, że na jakiś czas przed akcją likwidacyjną do piwnicy pod zakrystią trafiła ósemka nieletnich Żydów. Piwnica istnieje po dziś dzień.

Niestety, znalazł się donosiciel. 9 października obu księży, a także ukrywane przez nich żydowskie dzieci wyprowadziła białoruska kolaborancka policja. Wolskiego razem z Grobelnym zamknięto w miejscowym więzieniu przy ulicy Brzeskiej. Małych Żydów zapewne zapędzono z powrotem za druty. Nie było sensu karać ich za ucieczkę, skoro ich los i tak był przesądzony. 15 października 1942 r. wszyscy zginęli w Lasku Borysowskim.

Marsz widziała, jako przypadkowy świadek, młoda mieszkanka Kobrynia i z jej to relacji, opisanej po latach w liście, wiemy, co się stało.

OSTATNIA POSŁUGA

Zabójstwo obu księży nie złamało ducha ich parafian. Nie złamało go też prowadzone od 1945 r. wysiedlenie do okrojonej z ziem wschodnich, pojałtańskiej Polski. Mimo nacisku ze strony sowieckiej wielu spośród kobryńskich Polaków zdecydowało się pozostać. Uszczupleni liczbą, tym bardziej byli zwartą i solidarną grupą.

Kobryń, obok sąsiedniego Brześcia, stał się głównym ośrodkiem działania Związku Obrońców Wolności (ZOW), najpoważniejszej na terenie ZSRR cywilnej polskiej organizacji podziemnej. Przez kilka lat, aż do rozbicia siatki konspiracji przez NKWD, członkowie ZOW organizowali tajne nauczanie, pielęgnowali też i chronili, zakazaną wtedy na sowieckiej Białorusi, polską kulturę.

Praktycznie wszyscy członkowie kobryńskiej komórki ZOW byli parafianami miejscowego kościoła, a następca księdza Wolskiego, proboszcz Józef Horodeński, dwoił się i troił, by małej trzódce swoich wiernych zapewnić religijną opiekę z ojczystym języku. Aresztowany w 1948 r., wrócił z Sybiru dwa lata po śmierci Stalina. »»»



Podpisy do foto
Dzieci . Kobryń. 4 lipca 1941 r
Foto: berlin.muzeum-digital.de

»»» «Zowiacy», choć przetrzebieni wyrokami, nadal stanowili tu mocne środowisko – i za kontakty z nimi ksiądz Horodeński po raz kolejny, w 1958 r., trafił za kraty. Po roku władze sowieckie «łaskawie» pozwoliły mu odsiedzieć resztę wyroku w polskim więzieniu. W tym samym czasie, w ramach tak zwanej «drugiej repatriacji», wyjechała za Bug większość ludzi ZOW. Ostatni polscy Mohikanie w Kobryniu jeszcze niedawno dożywali tam starości.

W 2008 r. ulice miasteczka stały się widownią wyjątkowego zdarzenia. W uroczystej ceremonii pochowano tu 60 polskich oficerów, policjantów oraz osoby cywilne, zamordowane we wrześniu 1939 r. w okolicach Kobrynia przez prokomunistyczne bojówki. W kościele, odzyskanym po Chruszczowowskiej kasacie, odprawiono za ich dusze solenne egzekwie. Następnie szczątki złożono z honorami w ziemi pobliskiego cmentarza. Na tę uroczystość zszedł się dosłownie cały Kobryń, kaвtolicy i prawosławni. Przyjeżdżał też z Polski Andrzej Przewoźnik, szef Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Tożsamości pomordowanych nigdy by nie ustalono, gdyby nie lista nazwisk, sporządzona jeszcze we wrześniu 1939 r. przez księdza Wolskiego. W ten sposób do katolickiego pochówku kilkudziesięciu osób przyczynił się po śmierci ktoś, kto sam nie ma grobu.

JACEK BORKOWICZ

LATA TEMU. ŁUNINIECKIE «LEGENDY GŁĘBOKIEJ SIWIZNY».

NOWOGRÓDZKO-BARANOWICCY KREWNI ŁUNIŃCA.

Pierwsza wzmiankę o Łunińcu i wszystko co z nim związane opisuje w książce «Pamięć. Rejon łuniniecki» Wiaczesław Nasiewicz, obecnie wykładowca BGU i redaktor naczelny Wielkiego atlasu historycznego Białorusi.

Lulin Wielki i Lulin Mały były dziedzicznie własnością Mikołaja Iwanowicza (Janowicza) Niemirowicza – syna litewskiego bojara Iwana (Jana) Niemiry – koniuszego wielkiego księcia Witolda i namiestnika połockiego. Mikołaj Niemirowicz przyczynił się do wstąpienia na tron Kazimierza Jagiellończyka, za co otrzymał w posiadanie od króla i wielkiego księcia najpierw w 1445 r. Nieśwież, a w 1449 r. – przywilej – dokument na budowę świątyń katolickich w «gnieździe rodowym» Niemirowiczów – Wsielub (obecnie rejon nowogródzki) i Iszkołdź (obecnie rejon baranowicki). Poprzez wspomniany przywilej, Lulin Wielki i Mały związane były z przyszłym kościołem i dworem w Iszkołdzi, stając się ich «poleskimi dannikami», zobowiązanymi do zaopatrywania wybudowanej w 1471 r. świątyni w miód. 5-26 «wiader» rocznie. Tak więc w latach 1449-1599, tj. w pierwszych 150 latach swojego kronikarskiego istnienia, Łuniniec, jaki był Lulin Mały, związał się z kościołem Świętej Trójcy w Iszkołdzi, który dziś, wraz z kościołem św. Kazimierza (według innych informacji – Podwyższenia Krzyża Świętego) we Wsielubie, jest jedną z najstarszych zachowanych świątyń katolickich na Białorusi.

PODWÓJNA ADOPCJA STANISŁAWA DOWOJNY, CZYLI JAK ŁUNINIEC PRZESZEDŁ W RĘCE WOJEWODY POŁOCKIEGO.

Z biegiem czasu majątki Niemirowiczów: Wsielub-Iszkołdź-Luliny przechodziły po męskiej linii Niemirowiczów, od ojca na syna. Dzięki związkom małżeńskim i służbie Wielkiemu Księstwu Litewskiemu ród Niemirowiczów rósł i zdobywał nowe tytuły. Tak więc, już opisany fundator kościołów we Wsielubie, Iszkołdzi, Nieświeżu i właściciel Łunińca, Mikołaj Niemirowicz do 1471 r. został wielkim wielkoksiążęcym namiestnikiem witebskim, smoleńskim, lubeckim i mcenskim (obecnie ten ostatni – obwód orłowski Federacji Rosyjskiej). Dzieci, Mikołaj i jego żona Elżbieta, nie mieli, a zgodnie z testamentem z 1471 r. (odpowiedni dokument przechowywany jest w 1 oddziale pergaminów w Archiwum Warszawskim Radziwiłłów w Archiwum Głównym Akt Dawnych), Luliny, po śmierci Mikołaja, miały stać się własnością kościoła w Iszkołdzi , a cały majątek – żony Elżbiety. Po jej śmierci, zgodnie z prawem, Nieśwież wrócił do skarbu wielkoksiążęcego, a Iszkołdź, z przypisanymi mu Luninem i Łunińcem, oddany został bratankom Mikołaja Niemirowicza.

W połowie 1500 roku «coś poszło nie tak», ród Niemirowiczów nadal zanikał. Z trzech gałęzi – pozostała tylko jedna – Kożan-Gorodecka gałąź Niemirowiczów – Szczyttów. Władający Łunińcem prawnuk Jana Niemiry, wnuk Mikołaja Niemirowicza, Jan Pietrowicz Niemirowicz, nazywany «Penko» lub «Pieńko», starosta czerkaski i kaniewski, namiestnik witebski, »»»

»»» «mocarz» Owrucza i Świsłoczy i innych, chociaż żył szczęśliwie z Anną (Bogdaną) Iwanowną Sapiehą od 1514 r., nie mieli dzieci. Bezdzietny był także jego brat – możny wojewoda kijowski i litewski hetman polny Andrzej Jakubowicz Niemirowicz. W szczegółach tego, co wydarzyło się później, autorowi pomogły uporządkować znajdujące się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie dokumenty nieświeżskich archiwów Radziwiłłów i archiwum Potockich z Radzynia Podlaskiego.

Jan Niemirowicz «Pieńko» miał siostrę Zofię, która wyszła za mąż za starostę mereckiego Stanisława Dowojnę. Para miała syna – Stanisława Stanisławowicza Dowojnę. Osierocony w dzieciństwie, Stanisław był wychowywany przez babcię, potem dużo czasu spędzał na dworze swoich wujków ze strony matki, Jana Pietrowicza i Andrzeja Jakubowicza Niemirowicza. W 1528 r. został komornikiem na dworze królowej Bony Sforzy, w 1530 r. – dworzaninem króla Zygmunta I Starego.

Z wojewodą kijowskim brał udział w walkach z Tatarami i «Moskwą», w 1536 r. – w wyprawie na Siebież.

W październiku 1537 roku w Kijowie hetman polny litewski i wojewoda kijowski Andrzej Niemirowicz adoptował Stanisława Dowojnę. Ten fakt był trzymany w tajemnicy przed innymi Niemirowiczami. Pośrednio można było tylko domyślać się, jak «przeciętny» szlachcic, nagle 23.05.1539 roku, na radzie wojskowej u króla Zygmunta, zobowiązał się niezwłocznie wystawić garnizon z 96 końmi dla jednego z zamków na granicy z Moskowią. (por.: wojewoda trocki Zebrzeziński wystawił – 100, biskup wileński – 61) i jeszcze tyle samo – 96 – «na dzień św. Piotra, 29.06.1539 r.».

Sytuacja wyszła na jaw, gdy w 1540 r. zmarł wojewoda Andrzej Niemirowicz i okazało się, że cały jego majątek, ze strony ojca i matki, przeszedł na Stanisława Dowojnę. W sprawie tego faktu «adopcji» rozpoczął się proces, który trwał od lipca do sierpnia 1541 roku w Wilnie. Stanisław przedstawił 3 dokumenty: pismo stwierdzające, że Andrzej Niemirowicz «przyjmuje Stanisława jako własnego syna» i przekazuje mu na własność 1/3 swojego majątku. Drugi – o tym, że Stanisław Dowojno pożycza 1600 kop groszy litewskich wojewodzie Andrzejowi pod zastaw pozostałe 2/3 majątku. Oczywiście zastaw był fikcyjny, ale wtedy nie można było inaczej.

Informacja: 1 kopa groszy litewskich = 60 groszy litewskich = 600 penezej WKL ≈ 120 gramów srebra. 1 grosz = 10 penezej (denary WKL) = 2 (później – 1,6) gramy srebra.

Według III Statutu Wielkiego Księstwa Litewskiego 1 koń kosztował 2 kopy groszy, wiadro miodu – 1 kopa groszy.

Trzecim dokumentem okazał się «as w rękawie» – list króla Zygmunta Starego, potwierdzający w mocy dwa pierwsze listy wojewody. Stanisław Stanisławowicz z oskarżonego został oskarżycielem. Ale młody król Zygmunt August, który sądził Dowojnę, wydał «salomonowy wyrok» i podzielił odziedziczony majątek wojewody kijowskiego między Stanisławem Dowojną a powodami – Niemirowiczami – bratanicami zmarłego: Anną, Nastazją, Dorotą i Aloną. 1/3 spadku przypadła Stanisławowi, jako «synowi», a 2/3 została podzielona na pół między Stanisławem Dowojną i bratanicami wojewody kijowskiego. Ze swojej połowy Dowojno otrzymywał 1/3 na własność, a resztę – gdy wypłaci do skarbca kwotę fikcyjnego zabezpieczenia. Sprawa ciągnęła się przez kolejne pół roku, dopóki decyzja sądu królewskiego nie została całkowicie podjęta. Jednocześnie Stanisław Dowojno odziedziczył całe archiwum Niemirowiczów, a «rękopisy, jak wiadomo, nie płoną».

Dlaczego więc król podjął taką decyzję, mimo że dokumenty świadczyły na korzyść pozwanego? Oczywiście obowiązywał statut litewski z 1529 roku i inne dokumenty prawne. Ale było jeszcze jedno małe «ale».

W 1540 roku, w tym samym sławnym mieście Kijowie, Stanisławowi Dowojnie

przytrafiło się kolejne szczęście, już bezpośrednio związane z Łunińcem. 15 marca 1540 roku brat wojewody kijowskiego – starosta czerkaski i kaniowski, właściciel Iszkołdzi i obu Lulinów, Jan Niemirowicz wystawił swojemu bratankowi ze strony matki Stanisławowi Stanisławowiczowi Dowojnie piękny arkusz pergaminu ozdobiony pięcioma pieczęciami woskowymi na jedwabnych koronkach amarantowych, w którym zeznał, że «z dawna widząc szlachetne czyny Dowojny, którymi od najmłodszych lat dał świadectwo przed całym światem, że sam starosta czerkaski poznał nie tylko ich dobroć i przyjaźń, uznając usługi te nie jako przyjacielskie a synowskie, biorąc pod uwagę brak własnych dzieci, przyjmuje Stanisława Dowojnę jako syna i wypisuje mu 1/3 wszystkich swoich dóbr». Po takim obrocie wydarzeń Stanisław Dowojno zaczął jeszcze bardziej przypodobywać się swojemu «ojcu», został zarządcą jego majątków i pół roku później, przed śmiercią, jesienią 1540 roku, Jan Pietrowicz Niemirowicz zapisał Stanisławowi Dowojnie pozostałe 2/3 swojego majątku. Ponownie pod fikcyjny zastaw w wysokości 1200 kop groszy litewskich, do czasu wykupu. To znaczy, do «nigdy» ... W tej sprawie nie było sporów sądowych, ponieważ określone prawa majątkowe i finansowe zachowała małżonka starosty Czerkaskiego Anna (Bohdana) Iwanowna Sapieha, która w 1552 roku potwierdziła prawa Stanisława Dowojny do majątku męża (i własnego). W ten sposób w 1540 r. kościół i dwór w Iszkołdzi, wraz ze swoimi dannikami poleskimi, Lulinem Wielkim i Lulińcem Małym, przeszły w zarząd, a następnie we własność Stanisława Dowojny. Fakt ten z 1540 r. przez długi czas, aż do znalezienia wcześniejszych dokumentów, był pierwszą wzmianką o Łunińcu.

Po załatwieniu spraw majątkowych, Stanisław Dowojno wraca do Wilna i zajmuje się sprawami państwowymi. 24 maja 1542 roku otrzymuje tytuł wojewody połockiego, co wiązało się z dodatkowym dobrym dochodem, który nadawał nowy status. Status ten dawał nie tylko dochód, ale także zobowiązywał do wielu rzeczy, biorąc pod uwagę, że ziemia połocka należała do granicy z Moskowią, a od 1537 roku trwały z nią ciągłe konflikty za Siebież. W tym samym roku 1542 Stanisław Dowojno ożenił się z przedstawicielką gwałtownie wznoszącego się w WKL rodu Petroneli Radziwiłł – najmłodszą córką starosty żmudzkiego i bielskiego Jana Radziwiłła. W 1543 roku król wysyła wojewodę połockiego z ambasadą do Moskwy. W 1546 roku Stanisław Dowojno buduje zamek w Dryssie na Dźwinie (obecnie Wierchniedźwińsk), uczestniczy 21 listopada 1547 w nadaniu przez króla Zygmunta Augusta miastu Połock «Przywileju ziemi połockiej». Stanisław i Petronela ofiarowują kościołowi 2 ołtarze, św. Trójcy i św. Jerzego (Jurija). Petronela w czerwcu 1551 uczestniczy w pogrzebie swojej kuzynki Barbary Radziwiłł. Lata 1551-52 Stanisław Dowojno praktycznie cały czas spędzał w Połocku, gdzie podjął znaczne prace nad umocnieniem, choć drewnianego, zamku połockiego. Praca wojewody w tej dziedzinie później, w 1565 r., została wysoko oceniona przez posła imperatora Świętego Cesarza Rzymskiego Maksymiliana II, w Moskowie Pernstejna. W latach 1553-1554 wojewoda połocki brał udział w negocjacjach z Moskalami w Możajsku – Moskwie. 1 września 1554 r. podpisano dwuletnią kontynuację rozejmu.

Stanisław Dowojno prowadził aktywne życie polityczne, brał udział w negocjacjach, nadaniu prawa magdeburskiego Mińskowi i Łuckowi, nawiązał dobre stosunki z królem Zygmuntem Augustem, który pozwolił wojewodzie, w zamian za utrzymanie garnizonu i «poczty» z 30 koni, zabrać z dochodów królewskich w Połocku 200 kop groszy litewskich rocznie.

Czy w latach 1540-1563 Stanisław Dowojno bywał w swoich poleskich dobrach Luninie i Łunińcu, historia milczy… »»»

UPADEK Z PIEDESTAŁU WOJEWODY POŁOCKIEGO.

Wszystko zawaliło się na początku 1563 roku. Iwan Groźny wraz z całą swoją armią obległ Połock 31 stycznia. Mimo informowania hetmanów i wojewodów o wyjściu 13 stycznia cara moskiewskiego z Wielkich Łuk, prośby o pomoc, ta ostatnia nie dotarła, Połocka bronił tylko jego garnizon. Oblężenie trwało 2 tygodnie, a 15 lutego 1563 roku upadło jedno z najbogatszych miast Księstwa Litewskiego. Wojewoda Stanisław Dowojno z żoną, J. Hlebowicz, prawosławny metropolita połocki Arsenij i tysiące obrońców Połocka dostali się do niewoli. Żona Stanisława, Petronela Radziwiłł, zmarła w Moskwie w 1564 r.

Negocjacje dotyczące powrotu z niewoli toczyły się przez kilka lat, w kilku etapach, często wypowiedzi i komentarze wysłanników polskich i litewskich były upokarzające dla już starszego wojewody.

Wobec braku dla niego łaski, opiekę nad jego majątkami, w tym Lulinem – Lulińcem, przyjął jego kuzyn Stanisław Andriejewicz Dowojno, który w imieniu właściciela sprzedał wieś Działłowicze Pawłowi Paderewskiemu (więcej – w książce «Pamięć...»).

Sam wojewoda połocki spędził 4,5 roku w niewoli i został wymieniony na rosyjskiego jeńca księcia Wasilija Tomkina, z dopłatą 10 tysięcy węgierskich złotych w lipcu 1567 roku. Królowi i wielkiemu księciu Stanisław Dowojno zapisał, że jeśli znajdzie się na wolności, to po swojej śmierci zapisze 1/3 spadku po żonie Petroneli – skarbcowi wielkoksiążęcemu, a 2/3 – spadkobiercom z linii Radziwiłłów, pomniejszonego o 8 tys. kop groszy litewskich zadatku. Tak też się stało, warunki wykupu wojewody połockiego z niewoli Zygmunt August potwierdził w Lublinie 16 kwietnia 1569 roku. Tak na marginesie pragnę zauważyć, że warunki te nie dotyczyły majątku wojewody połockiego przed ślubem w 1542 r., tj. pozostał on właścicielem Wsieluba, Iszkołdzi i ich poleskich danników: Lunina i Łunińca.

Ciało żony Petroneli Stanisław zostawił w Smoleńsku, w celu wymiany później na prochy zmarłego w styczniu 1564 r. księcia Piotra Szujskiego, pochowanego w wileńskiej cerkwi Preczysteńskiej. Taki był warunek Iwana Groźnego. Nawiasem mówiąc, do tej wymiany nie doszło, zdecydowanie przeciwni byli Radziwiłłowie.

Przez współczesnych ludzi, S. Dowojna, wojewoda połocki i właściciel Łunińca, został głównym oskarżonym o poddanie się Połocka. Przez ten pryzmat oglądany jest jego wkład w historię. Fakt kapitulacji Połocka przekreślił wszystko, co dobre w biografii dowódcy wojskowego. Autor artykułu nie zgadza się z tym maksymalistycznym podejściem i popiera opinię Ryszarda Menickiego, autora książki «Stanisław Dowojno – wojewoda połocki» (Wilno, 1937). Tak, wojewoda popełnił szereg błędnych obliczeń podczas obrony Połocka: poddał się wielki Ostróg otaczający miasto; wysłał, a w rzeczywistości doprowadził do niewoli ponad 10 tysięcy chłopów, zamiast ich uzbroić; nie zapewnił «tyłów» podczas negocjacji i oddania do niewoli, ale nieuzasadnione jest oskarżanie go o zdradę, poddanie miasta praktycznie bez walki. Stanisław Dowojno nie może ponosić odpowiedzialności za powolność i brak pomocy oblężonemu Połockowi, za działania hetmana Mikołaja Radziwiłła, który przyszedł na «pomoc» z oddziałem 2,5 tys. żołnierzy, ale nigdy nie przystąpił do walki, rozsiewając plotki o licznym wojsku, itp.

Jedno cieszy to, że po powrocie z niewoli moskiewskiej Stanisławowi Dowojnie zapewniono stosunkowo spokojną (prawie – o tym poniżej) starość, w przeciwieństwie do jego «towarzysza nieszczęścia» opricznika księcia Tomkina – Rostowskiego, który został stracony wraz z synem w 1572 r.

Po powrocie z niewoli moskiewskiej Stanisław Dowojno wrócił do swoich majątków, całkowicie wycofał się z życia publicznego i niczym nie przypominał dawnego

odważnego wojewody połockiego – towarzysza króla Zygmunta Augusta. Coraz częściej wyglądał na człowieka złamanego klęską pod Połockiem, wieloletnią niewolą, śmiercią żony. Bez wątpienia, wojewoda połocki został całkowicie skompromitowany w oczach króla i opinii publicznej, nękały go problemy zdrowotne. Jeszcze bardziej – nienawiść ze strony potężnych Radziwiłłów, którzy nie mogli mu wybaczyć, formalnie – śmierć krewnej i część spadku, który przeszedł na niego po ślubie z Petronelą. Naukowcy uważają, że Mikołaj Radziwiłł «Czarny» nienawidził Petroneli w duszy za to, że większość bogactwa zapisała mężowi, a nie braciom, dlatego pod każdym względem oczerniając S. Dowojnę, uniemożliwił, mimo decyzji króla, powrót prochów jego żony do domu.

Większość dóbr połockich wojewody znajdowała się w rękach moskiewskich. Otrzymał część spadku po zmarłym kuzynie. Przy czym, 2 grudnia 1567 r., pod naciskiem Stefana Zbaraskiego, Jana Chodkiewicza i Ostafiego Wołowicza, wojewoda zapisał skarbcowi królewskiemu prawie cały majątek, który odziedziczył po zmarłej żonie. Przez kilka lat Stanisław bezskutecznie podejmował próby przywiezienia do kraju ciała Petroneli Radziwiłł.

Dekret, zwołujący szlachtę na Sejm Lubelski zakończony podpisaniem Unii Lubelskiej, wojewoda połocki nie otrzymał, w samym Sejmie nie brał udziału.

WŁAŚCICIELKA ŁUNINIECKA – BARBARA SOŁOMERECKA.

Wojewoda połocki Stanisław Dowojno więcej czasu spędzał w swoich wiejskich dobrach, z dala od zgiełku, zajmując się sprawami osobistymi. Coraz bardziej ciążyła mu samotność: ani żony, ani dzieci, ani bliskich krewnych. Mimo swojego wieku, w 1568 roku Stanisław postanowił ponownie ożenić się i poślubił wdowę po księciu Jarosławie Hołowczyńskim, Dorotę Kostewicz. Małżonkowie mieli nawet córeczkę, również Dorotę, która zmarła w wieku sześciu miesięcy w 1569 roku, a 14 kwietnia 1571 roku zmarła również sama Dorota Kostewicz. Obie Stanisław Dowojno pochował w majątku Balwierzyszki (obecnie okręg kowieński na Litwie).

I wtedy w życiu wojewody połockiego Stanisława Dowojny pojawia się bardzo ciekawa młoda wdowa Barbara Sołomerecka, która zasługuje na osobną opowieść.

Barbara Iwanowna Sołomerecka jest córką kasztelana mścisławskiego księcia Iwana (Jana) Wasiljewicza Sołomereckiego z drugiego małżeństwa z Anną Janowną Hlebowicz. Daty urodzenia i śmierci nie ma w otwartych źródłach, istnieje przypuszczenie, że rok urodzenia to 1540.

W pierwszym małżeństwie Barbara była żoną Konstantina Juriewicza Chodkiewicza, który zmarł w 1571 roku. Konstantin Chodkiewicz, jak pisze w swojej książce «Litewsko – rosyjscy książęta od końca XIV wieku» Józef Wolff (Warszawa, 1895), był synem Jurija Aleksandrowicza Chodkiewicza – słynnego bojara, stolnika i krajczego WKL, kasztelana trockiego, starosty oszmiańskiego etc. i Eugenii Iwanowny Hornostaj – córki Iwana Ostafiewicza Hornostaja (1501-1558), posiadającego tytuły nie mniej niż Chodkiewicz: wielki pisarz i nadworny marszałek litewski, wojewoda wileński i nowogródzki. Eugenia Hornostaj była siostrą Gabriela Iwanowicza Hornostaja (1515-1587) – wojewody brzeskiego, starosty mińskiego i kamienieckiego. Matką Gabriela Hornostaja była Anna Wasiljewna Sołomerecka, więc z powyższego wynika, że Sołomereccy, Hornostaje i Chodkiewicze byli ze sobą bardzo blisko spokrewnieni. Czy można się dziwić, że po śmierci Konstantyna, Barbara trafia pod opiekę wuja swojego męża ze strony matki – Gabriela Hornostaja. Ten złożony opis jest ważny dla zrozumienia dokumentów i związków przyczynowo – skutkowych między Gabrielem Hornostajem a Barbarą »»»

»»» Sołomerecką, w których często będzie figurować Łuniniec.

Sprawa dotyczyła Brzostowicy. Barbara szybko rozwiązuje sprawy majątkowe, przekazuje krewnym małżonka i jego opiekunom spadek w testamencie, hetmanowi Grzegorzowi i marszałkowi ziemskiemu Janowi Chodkiewiczowi w idealnym stanie archiwum, zabierając sobie rejestr z testamentem. Według tego ostatniego, wdowa ma zapisane na siebie 1 listopada 1570 r. «w zabezpieczaniu 7 tysięcy kop groszy litewskich» majątki «Klepackie» (Klepacze) i Trościeniec w powiecie brzeskolitewskim. Następnie Barbara pojawia się w życiu starzejącego się wdowca, właściciela Wieluba, Iszkołdzi, Lulina Wielkiego i Lulina Małego wojewody połockiego Stanisława Dowojny.

W 1572 roku «młodzi» pobrali się. Można byłoby przypuszczać, że zaczęli żyć długo i szczęśliwie. Ale tak nie było. Oto, co pisze w swoim artykule «Rozwody magnatów zamieniły się w wojny lub skandale w rodzinach szlacheckich» w gazecie SB 31.03.2017 r. słynna pisarka Ludmiła Rubleuska:

«Nie zawsze poszkodowaną stroną była dama. Połowa XVI wieku. Wojewoda połocki Stanisław Dowojno skarży się biskupowi wileńskiemu Walerianowi na swoją żonę Barbarę Sołomerecką. Pobiła męża i wyjechała, zabierając druki z pieczęcią męża. Dlaczego – wkrótce się wyjaśniło: groźna dama wpisała tam rzekomo dług małżonka za majątek Wsieluba w wysokości 10 000 kop litewskich groszy. A majątek ten i należał do Stanisława! Co więcej, Dowojno skarży się, że jego żona biła go wcześniej, a raz prawie spaliła żywcem».

Barbara Sołomerecka okresowo biła w podeszłym wieku męża, próbowała go spalić, tj. była uosobieniem przemocy domowej. Oto, co dodaje do portretu Barbary R. Menicki: «Żona wojewody połockiego była wzorem chciwości, zdrady, ekscentryczności i braku skrupułów, co z pewnością nie było rozkoszą ostatnich lat i tak nie bezchmurnego życia starzejącego się wojewody połockiego». Dowojnowie spędzali czas w Nowogródku. Kiedy jesienią do miasta dotarła epidemia dżumy, wyjechali do swojego majątku Cyryn (obecnie rejon korelicki), gdzie, jak pisał Menicki, 17 listopada 1572 roku własnoręcznie Stanisław Dowojno sporządził spis wszystkich swoich majątków i opierając się na 2 redagowaniu statutu litewskiego z 1566 roku, przekazał cały swój majątek żonie – Barbarze Sołomereckiej. Nowy, drugi statut litewski, w przeciwieństwie do poprzedniego, z 1529 r., pozwalał spadkobiercom w pełni, bez ograniczenia w 1/3 rozporządzać dziedziczonym majątkiem. Dziedzictwo bezdzietnych rodziców nie trafiło do skarbu wielkoksiążęcego.

Co mówią udostępnione przez autora artykuły źródeł archiwalnych. Trudno je cytować, ale istota jest następująca: 9 listopada 1571 roku na «Zamku Mińskim przed Jaśnie Wielmożnym Panem Gabrielem Iwanowiczem Hornostajem, wojewodą i starostą mińskim, władcą kamienieckim Jaśnie Pan Stanisław Stanisławowicz Dowojno, wojewoda połocki dobrowolnie wyznał i powiedział tymi słowy, że z pilnej potrzeby wziął i pożyczył... penezej tysiąc tysięcy kop groszy liczby i monety litewskiej...» od żony swojej Barbary księżnej Sołomereckiej, za co oddał jej pod zastaw cały swój majątek, włączając... «Iszkołdź i z daniną do tego majątku należącymi do Lunina i Łuninca z częściami Panów Paderewskich i Małżonki jego oraz Pana Mikołaja Harlińskiego i Małżonki jego ...». Poniżej w tekście ciekawy toponim: «obu Luninów»…

Co nowego daje cytowane źródło:

1. Okazuje się, że nie 17 listopada, ale 9 listopada 1572 r.; nie w Cyrynie, ale w Mińsku, w obliczu wojewody mińskiego i brzeskiego Gabriela Hornostaja; nie testament, ale fikcyjny zadatek całego majątku za bajeczną sumę miliona kop groszy litewskich!

2. We wcześniejszych badaniach podano informacje, że już od lat 60. XVI wieku, za czasów Dowojny, część Lunińsko-Łuninieckiego «krzaka» – wieś Działłowicze

została sprzedana Pawłowi Paderewskiemu. Okazuje się, że nie została sprzedana na własność, ale najprawdopodobniej zastawiona lub wynajęta.

3. W tym samym statusie część Łuniecczyzny należała do Mikołaja Harlińskiego jeszcze za życia Stanisława Dowojny. Wcześniejsze badania wskazywały jedynie na spory sądowe krewnych Stanisława Andrzejewicza Dowojny – kuzyna zmarłego wojewody połockiego – z Barbarą Sołomerecką. Po odkryciu nowych źródeł jasne jest, że były powody do takich postępowań.

4. Po listopadzie 1572 roku, zamiast wcześniejszych toponimów: Lulin Wielki, Lulin, Łuniniec Mały, Łuniniec, w dokumentach coraz częściej pojawiają się toponimy: Lunin i Łuniniec. (Po 1576 roku autor spotykał się tylko z Luninem i Łunińcem).

Warto zauważyć, że Barbara odnotowywała w swoich późniejszych listach, że data, w której majątek męża przeszedł na nią, to 30 listopada 1572 roku.

Tak zakończył się okres posiadania Lunina i Łunińca przez wojewodę połockiego Stanisława Dowojnę. Okres, który trwał de facto od 15 marca 1540 roku do 9 listopada 1572 roku – 32 lata.

Kilka miesięcy później, w 1573 roku wojewoda połocki Stanisław Dowojna umiera, przed śmiercią zdążył jeszcze wziąć udział w wyborach pierwszego polskiego «elekcyjnego» króla Henryka Walezjusza.

Do historii S. Dowojno wszedł jako negatywny bohater. Winą jest utrata Połocka, który powrócił na łono już Rzeczypospolitej po 16 latach, w 1579 roku. Zapomniane zostały zasługi bojowe Stanisława w licznych wojnach z Moskowią i Chanatem Krymskim, wysiłki dyplomatyczne, budowa twierdzy w Dryssie, która jako jedyna pozostała w składzie WKL po zajęciu przez Iwana Groźnego całej prawobrzeżnej (zach. Dźwina) części Księstwa. Fortyfikacje Połocka, jego 2-tygodniowe oblężenie, trudy i udręki 4,5-letniej niewoli, utrata żony i męki z nową młodą żoną zostały zapomniane. Cóż, sąd historii jest surowy i nie zawsze sprawiedliwy.

A wdowa po wojewodzie – Barbara Sołomerecka została właścicielką ogromnych dóbr Dowojny i, po mężu, Niemirowiczów, wśród których były poleskie Lunin i Łuniniec.

Zgodnie z III statutem Wielkiego Księstwa Litewskiego (artykuły 1-3, rozdział VII) tego rodzaju transakcje majątkowe miały być rejestrowane w powiecie ziemskim «rządzie», między jego sesjami (3 rocznie) – w najbliższym sądzie zamkowym, ale ten okres przejściowy nie powinien trwać dłużej niż 2 sesje sądu powiatowego ziemskiego. Tak czy inaczej, w ciągu 8 miesięcy trzeba było zarejestrować umowę w sądzie. W dokumentach S. Dowojny – B. Sołomereckiej na pierwszym miejscu były majątki powiatu połockiego: Kuryłowicze i inne, które znajdowały się w jurysdykcji okupowanych przez Moskowię ziem połockich i sądu powiatowego w Połocku.

Tydzień później, 24 listopada 1572 roku, poświadczając «testament» w nowogródzkim sądzie zamkowym, Barbara przekazała go do rejestracji w aktach sądu zamkowego w Połocku. Ponieważ ani za życia Zygmunta Augusta, ani za Henryka Walezego nie przywrócono pracy sądu ziemskiego w Połocku na terytorium podlegającym jurysdykcji WKL, Borkolaba Iwanowicz Korsak zarejestrował testament również w aktach zamku w Dziśnie 5 lipca 1574 roku.

Całej tej historii towarzyszyła intensywna korespondencja między księżną Sołomerecką, kanclerzem WKL Mikołajem Radziwiłłem «Rudym», a także reprezentującą interesy Barbary, jej opiekunem i «bratem» Gabrielem Iwanowiczem Hornostajem, wojewodą mińskim i brzeskolitewskim (o tym – poniżej).

Dopiero po przywróceniu Połocka Rzeczypospolitej, «lat świętomichajłowskich», w 1580 r. testament dawno zmarłego Stanisława Dowojny został zarejestrowany w połockim sądzie ziemskim i potwierdzony przez króla Stefana Batorego. Barbara Sołomerecka otrzymała, jakby teraz powiedzieli, notarialnie poświadczony wypis, »»»

»»» w którym stwierdzono, że Barbara, księżniczka Sołomerecka, jest gospodynią majątków: w powiecie połockim – Kuryłowicze i innych; w powiecie lidzkim--Iszczołna (obecnie rejon szczuczyński) z folwarkiem Wołczyńskim oraz w powiecie nowogródzkim – Iszkołdź, Linci, Lunin i Łuniniec. Warto pamiętać, że przywłaszczony przez fałszerstwo, rzekomo za długi męża, Wsielub, o czym pisała L. Rubleuska, Barbara sprzedała Mikołajowi Juriewiczowi Radziwiłłowi «Rudemu» już w 1576 roku. W Archiwum Potockich w AGAD trafił mi się dokument bez daty, napisany ręką Mikołaja Juriewicza Radziwiłła «Rudego», w którym ten potwierdzał przejście wsi Wsielub na swoją własność w związku ze spłatą długu w wysokości 16 tys. kop groszy litewskich księciu Radziwiłłowi Stanisławowi Dowojnie (z kompensacją «długu» 10 tys. kop Stanisława jego żonie Barbarze).

Czym zajmowała się wdowa po wojewodzie połockim? Jak świadczą dokumenty archiwów polskich i litewskich, Barbara Sołomerecka wyróżniała się patologicznym pragnieniem rozpraw sądowych i różnych przygód. Sądziła się ze wszystkimi i z każdego powodu, z Hornostajami i Radziwiłłami, w sprawach granicznych i majątkowych; pożyczała pieniądze i nie oddawała pod pretekstem, że to nie jej podpis, a pieczęć i druki zostały skradzione. Ona, jak pisze R. Menicki, osiedliła się w województwie brzeskolitewskim, w «Trościeńcu powiecie brzeskolitewskim», można przypuszczać, że bywała w Luninie i Łunińcu.

W Litewskim Państwowym Archiwum Historycznym (Lietuvos Valstybes Istorijos Archyvas) w aktach Sądu Miejskiego w Brześciu z lat 1557-1715 przechowywane są następujące sprawy:

23 sierpnia 1577 r. «Oświadczenie woźnego o przekazaniu wezwań (pozwów) ziemskich brzeskolitewskich żonie wojewody połockiego Barbarze Sołomereckiej Barbarze księżnej Sołomereckiej w imieniu Trościeńca na podstawie skargi księdza o nie oddanie dziesięciny (cerkiewnej-?) w ciągu kilku lat».

9 października 1577 r. «Skarga szlachcica Stefana Jakimowicza na żonę wojewody połockiego ... Barbarę Sołomerecką o zagarnięciu, na jej rozkaz, przez urzędnika jej trościeńskiego Fiodora gruntów, zwanych Makownieszycami (nieczytelnie) i naruszenie znaków granicznych»

2 września 1578 r. orzeczenie sądowe w sprawie skargi Andrzeja Siemiłowskiego na Barbarę Sołomerecką «o gwałtowne pozbycie spokojnego utrzymywania ziemi zaściankowej wsi Cuprykowskiego (Cyprykowskiego – ?)», która została darowana przez Konstantego Chodkiewicza, starostę bielskiego, poddanemu ze wsi Cupryków (Cypryków – ?). Rozstrzygnięto na korzyść powoda.

Istnieje jeden fakt, kiedy żona wojewody przedstawiła fałszywy dokument na zadatek w wysokości 44 kop groszy litewskich, brzeski sąd fałszerstwo rozpoznał i Sołomerecką ukarał grzywną.

Czasami sama dawała pożyczki, a potem z całej siły «wytrząsała» go od dłużnika.

Gdy tylko w 1580 roku Barbara Sołomerecka otrzymała potwierdzające dokumenty z sądu ziemskiego w Połocku na swoje posiadłości nowogródzkie, wybuchł jej spór sądowy z dalekim krewnym Stanisława Dowojny, Pawłem Januszewiczem Druckim-Lubeckim, zakończony zawarciem 30 marca 1587 roku w sądzie grodzieńskim ugody, na mocy której Paweł Drucki – Lubecki otrzymał Łuniniec Mały, rezygnując z Lunina i Iszkołdzi, które pozostały w posiadaniu Barbary.

Tak zakończyła się «żywa», chaotyczna, pełna przygód epoka zarządzania naszym rodzinnym Łunińcem Barbary, księżnej Sołomereckiej. Era, która trwała prawie 15 lat, od 17 listopada 1572 do 30 marca 1587.

Zainteresowanych kontynuacją historii Łunińca i jego właścicieli odsyłam do książki «Pamięć. Rejon łuniniecki».

Jak dalej potoczyły się losy Barbary?

W grudniu 1583 roku oddaje pod zastaw Andrzejowi Mikołajewiczowi Skinderowi i jego żonie Hannie Szymonównie Zawadzkiej Olkowicze, należące do majątku

Trościeniec, które odziedziczyła w postaci «wykupu» od pierwszego męża Konstantego Juriewicza Chodkiewicza.

(«Wykup», w statucie litewskim – zabezpieczenie materialne posagu żony majątkiem męża).

W latach 1583-84 (?) Barbara Sołomerecka wychodzi za mąż za Filipa Iwanowicza Limonta – wojskowego rejonu lidzkiego i sędziego Trybunału Litewskiego. Filip Iwanowicz, wyznania prawosławnego, znany z tego, że początkowo był gorącym przeciwnikiem unii brzeskiej, brał udział w antyuniackiej części soboru brzeskiego «prawosławnych unitów i łaciników, zarówno duchowych, jak i świeckich» z 1596 roku, wspierając partię patriarszego egzarchy Nikifora i Konstantyna Ostrogskiego. Pod koniec lat 90., na początku 1600 roku, jako sędzia Trybunału, wspierał wiernych prawosławnych w każdy możliwy sposób.

Filip Limont i jego żona Barbara Sołomerecka znani są z tego, że w 1596 roku najpierw oddali pod zastaw Janowi Mieleszko należący do nich Lunin Wielki, a w 1599 roku sprzedali wieś kasztelanowi trockiemu Jerzemu Mikołajewiczowi Radziwiłłowi (1578-1613).

W 1620 roku Filip Limont przeszedł na unityzm, przyjął święcenia kapłańskie i do końca swoich dni służył w unickiej cerkwi Preczysteńskiej w Trokach. Ślad Barbary Sołomereckiej gubi się... Co się z nią stało, jak potoczyły się jej losy, czy małżonek był w stanie ograniczyć jej gwałtowne i czasami kłótliwe usposobienie, pozostaje niewiadomą.

Pozwolę sobie na liryczną dygresję. Ludzie kochają bajki, a narody – swoją mitologię, często opierają się na nich fundamenty narodowe, rozwija się turystyka. Przykładem może być austro-węgierska królowa Sisi w Wiedniu, kult księżniczki Daisy w polskich Mosznie i Pszczynie, rodzina królewska w Wielkiej Brytanii. Nie zawsze bohaterowie są pozytywni. Połowa rumuńskiej turystyki jest zbudowana na antybohaterze Władzie III «Palowniku» – «Drakuli».

Wydaje mi się, że historia wojewody połockiego Stanisława Dowojny i jego ekscentrycznej żony Barbary Sołomereckiej, którzy posiadali Łuniniec i jego okolice prawie 50 lat, w odpowiedniej «obróbce», mogłaby stać się ciekawą historyczną, krajoznawczą i turystyczną atrakcją Łunińca.

HORNOSTAJ W ŁUNIŃCU.

Co sprawiło, że autor zanurzył się w starej i prawie zapomnianej historii swoich rodzinnych miejsc?

Odpowiadam: znalezienie w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie papierów, zawierających setki dokumentów dotyczących sporów sądowych między rodziną Hornostajów a Dowojnami-Sołomereckimi, w których często figuruje Lunin – Lulin Wielki i Łuniniec – Lulin Mały/Luliniec. Szczerze mówiąc, wcześniej nie słyszałem nic o rodzie Hornostajów, a tym bardziej o ich stosunku do Łunińca...

Kim więc są Hornostaje? Oto, co słownik Brockhausa-Efrona i Wikipedia piszą o ich potężnym niegdyś szlacheckim rodzie:

Hornostaje – starożytny ród szlachecki Wielkiego Księstwa Litewskiego, herbu Hippocentaurus.

Przodkiem tego szlacheckiego rodu jest Roman Iwaszkowicz Hornostaj, w latach 1487-1493 namiestnik owrucki. Jeden z jego wnuków, Iwan Hornostaj (1501-1558) był wojewodą nowogródzkim i podskarbim Wielkiego Księcia Litewskiego, a Onikiej Hornostaj marszałkiem królewskim…

Ród Hornostajów zanikł w pierwszej połowie XVII wieku.

Interesuje nas najstarszy syn Iwana Astafiewicza Hornostaja i Anny Wasilewny Sołomereckiej – Gabriel Iwanowicz (1515-1588), który był: od 22 marca 1566 roku — wojewodą mińskim, od 6 lipca 1576 roku — wojewodą brzeskolitewskim, od 1568 roku — starostą kamienieckim, od 1575 roku — starostą mińskim. W czasie wojny inflanckiej wystawił wojsko z »»»

»»» 49 koni; w 1569 podpisał Unię Lubelską, a w 1573 dekret potwierdzający wybór Henryka III Walezjusza na króla Polski. Posiadał majątki Kopyl, Szczytniki i Bałatkowo w rejonie brzeskolitewskim, Pocesz w powiecie wiłkomirskim, częściowo majątki Ostroszyce, Tołoczyn, Basieja. Przeszedł z prawosławia na kalwinizm. Był żonaty z Barbarą Wojciechowną Łaską, córką wojewody sieradzkiego. Miał z nią jedynego syna Hieronima Hornostaja, żonatego z Beatą Łosotianką (z rodu Łosotów) …

Gabriel Iwanocz Hornostaj był bratem Eugenii Hornostaj – Chodkiewicz, teściowej B. Sołomereckiej z pierwszego małżeństwa. Po śmierci męża Barbary Konstantego Chodkiewicza, Gabriel Hornostaj został opiekunem Sołomereckiej. W swoich licznych pismach kaligraficznych Barbara zwraca się do Gabriela nie po szlachecku «pan-brat», a często «mój brat». Opieka ta utrzymała się po śmierci drugiego męża księżnej Sołomereckiej – Stanisława Dowojny.

27 grudnia 1574 roku w «Zamku Starostwa Hospodarskiego Brzeskolitewskiego» Barbara Sołomerecka przekazała wszystkie swoje majątki, zarówno odziedziczone po Stanisławie Dowojnie, jak i po poprzednim mężu Konstantynie Chodkiewiczu, Klepacze wraz z okolicznymi wsiami, a rejestry na nich do zarządu wojewody brzeskolitewskiego Gabriela Iwana Hornostaja. Odpowiednie dokumenty są przechowywane w Archiwum Głównych Akt Dawnych w Warszawie.

Gabriel Iwanowicz po mistrzowsku zarządzał majątkami «opiekunki». W AGAD przechowywany jest interesujący dokument datowany na 14 października 1578 roku. W nim woźny (kurier – komornik) Wileńskiego Ziemskiego Sądu Powiatowego, Sczastnyj Janowicz pisze, że w wilejskim majątku Gabriela Hornostaja dostarczył «i położył na szerokim stole jego» wezwanie-pozew od szlachcica powiatu oszmiańskiego Grzegorza Janowicza i jego żony Zuzanny Franckówny o wcześniejsze rozwiązanie umowy zastawu. Przedmiotem zastawu była wieś Łuniniec Mały, kwota zastawu – pięćset kop groszy litewskich.

Jak to czasami bywa w życiu, od przyjaźni do wrogości dzieli jeden krok.

W latach 1579-80 księżna Sołomerecka sądziła się z Gabrielem Iwanowiczem Hornostajem «o przywilej», który pozostawiła wojewodzie mińskiemu i brzeskolitewskiemu na przechowanie.

Istnieją informacje, że Hornostaj odpłacił swojej «podopiecznej» jej metodami, wziął pożyczkę od niej i nie oddał, powołując się na fałszerstwo swojego podpisu na «cyrografie» – pokwitowaniu długu. W aktach Sądu Miejskiego w Brześciu Litewskim zachowała się skarga z 29 marca 1580 roku «księżnej Sołomereckiej na Gabriela Hornostaja, wojewodę brzeskolitewskiego, starostę mińskiego o jego odmowę do zapłaty pożyczonej od niej sumy pieniędzy, o nieuznaniu jego kartki wydanej jej na tę kwotę».

W 1586 Gabriel Hornostaj «pozwał» księżną Sołomerecką do Trybunału Litewskiego, uznając za nieistotny wpis w «księgach wieczystych» o własności Barbary do majątku Kuryłowicze w powiecie połockim.

CZAS NA PODSUMOWANIE.

Co udało się odświeżyć, jakie nowe fakty poznać?

1. Po raz kolejny odświeżyliśmy pokrewieństwo między naszym rodzinnym Łunińcem a jednym z najstarszych zachowanych czynnych kościołów na Białorusi – Świętej Trójcy w Iszkołdzi.

2. Nowe, niepublikowane wcześniej fakty dotyczące «podwójnej» adopcji Stanisława Dowojny i przejścia Lunina i Łunińca w jego zarządzanie jeszcze za życia Jana Piotrowicza Niemirowicza «Pieńki».

3. Autor podjął próbę obiektywnej oceny historycznej roli wojewody połockiego Stanisława Dowojny, który władał Łunińcem przez ponad 30 lat.

4. Szczegół do portretu Łunińca. W latach 1550-63 jego właścicielką, wspólnie z mężem, była Petronela Radziwiłł.

5. Okazuje się, że jeszcze za życia Stanisława Dowojny, część jego łuninieckich majątków, Działowicze dzierżawił (wziął pod zastaw) Paweł Paderewski, a część Łunińca i obecnej Wólki Łuninieckiej – Paweł Januszewicz Drucki – Lubecki. Od nazwiska jego ciotki Anny Charlińskiej przez wiele stuleci wieś nosiła nazwę Wólka Charlińska.

6. Głęboko i, w miarę możliwości, kompleksowo przedstawiony został obraz następnej właścicielki Łunińca – Barbary Sołomereckiej. Wyrażono myśl, że małżeństwo S. Dowojno – B. Sołomerecka mogłoby stać się jednym z kamieni fundamentowych średniowiecznej historii Łunińca i jego turystycznymi obrazami. Bohaterowie nie muszą być pozytywni.

7. «Wisienką na torcie» jest odkrycie połączenia wojewody mińskiego i brzeskolitewskiego Gabriela Iwanowicza Hornostaja i Luninenszczyzny. Ta informacja nigdy nie była nigdzie omawiana, ród Hornostajów na Białorusi jest praktycznie zapomniany.

Cóż, jak na tak dawną historię tak małego poleskiego miasta to nieźle!

POSTSCRIPTUM.

A czy Łuniniec był taki mały w XVI wieku?

Pamiętając o inwentarzu z 1588 roku, w Łunińcu były 74 zagrody i 9 innych «ogrodników» bez własnej ziemi. W sumie 83 «dymów» to gospodarstwa domowe. Roczna danina wsi wynosiła 26 wiader miodu – równowartość 3 kg. 120 gramów czystego srebra rocznie. A co najważniejsze, w Łunińcu już wtedy była własna cerkiew!

Dworzanin króla Zygmunta Augusta, jego powiernik i wielki autorytet w zarządzaniu folwarkami, Anzelm Gostomski w swojej książce «Gospodarka lub gospodarstwo ziemskie» z 1588 roku napisał, że idealna wieś to ta, w której mieszka 100 «kmieci», tj. chłopów. Wtóruje mu Kamil Janicki w swojej nowej książce «Pańszczyzna...»: «Wieś z piętnastoma domami była już dość duża jak na tamtą skalę. Populacja większości wynosiła 70-80 osób, z czego większość stanowiły dzieci...»

Na tle takich statystyk Łuniniec z 83 zagrodami i populacją 400-500 mieszkańców, a tym bardziej takie miejsca w rejonie łuninieckim, jak Łachwa i Kożangródek, w których było 300-350 zagród, były, w skali XVI wieku, bardzo dużymi osadami. Nic dziwnego, że ich nazwy często pojawiają się w starożytnych zwojach pergaminowych, rejestrach książek i królewskich przywilejach.

Chciałoby się przywrócić dawną świetność wielkiemu Luninowi i historyczną nazwę Wólce Charlińskiej!

Chciałoby się zniszczyć ten deprecjonujący, zakorzeniony przez dziesięciolecia w głowach nie tylko Łuninczan, mit o «zapomnianej wiosce poleskiej», gdzie życie pojawiło się dopiero po budowie kolei poleskich!

Wykaz zastosowanych dokumentów i literatury:

Archiwum Główne Akt Dawnych. Archiwum Potockich z Radzynia. Sygn. 1/334/0/-/324.
Archiwum Główne Akt Dawnych. Archiwum Warszawskie Radziwiłłów. Sygn. 1/354/0/...
Lietuvos Valstybes Istorijos Archyvas. Akty Sądu Miejskiego w Brześciu 1557-1715 rok.
Wolff Józef. Kniaziowie litewsko ruscy od końca 14 wieku. Warszawa, 1895.
Mienicki Ryszard. Stanisław Dowojno – wojewoda połocki. Wilno, 1937.
Janicki Kamil. Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań, 2021.
Gostomski Anzelm. Gospodarstwo. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław 1951. Pierwsze wydanie 1588 r.
Hornostaj, ród litewski // Słownik encyklopedyczny Brockhausa i Efrona: w 86 t. (82 t. 4 dodatk.). — Sankt Petersburg, 1890—1907.
Spis dokumentów Wileńskiego Centralnego Archiwum dawnych ksiąg aktowych. Wydanie X. Akta Sądu Miejskiego w Brześciu w latach 1557-1715.Wilno. 1913 r.
«Pamięć. Rejon łuniniecki». Mińsk, Białoruś, 1995.
Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego z 1588 roku. Mińsk, «Białoruś», 2010.
Encyklopedia historii Białorusi: w 6 t. T. 3 i 6, ks.1 / Red-kal.: G. P. Paszków (gł. red.).) i in. – Mn.: BelEn, 1996 i 2001.
Wikipedia.
Otwarte źródła Internetu.
Cyfrowe archiwum obrazków wydziału pergaminów Biblioteki Litewskiej Akademii Nauk. http://www.mch.mii.lt/mab/Kolekcija/Pergamentas.asp?txtSign=F6-46

DWÓR HARTINGHÓW W CZERNICHOWIE DOLNYM

W porównaniu z dworem Rdułtowskim w Górnym Czernichowie pozostałości dworu w Czernichowie Dolnym są o wiele mniej znane i popularne wśród turystów i krajoznawców. Bardzo mało też danych o jego dawnych właścicielach.



Dawny dwór znajduje się w północno-wschodniej części rejonu baranowickiego, po drodze na Mińsk, w największej z trzech wsi o nazwie Czernichów. Toponimika świadczy o podziele kiedyś jednolitych dóbr, który nastąpił jeszcze w XVI wieku. W Czernichowie Górnym przez długi czas gospodarowali Rdułtowscy. Obecnie jest to malutka wioska. Pozostało



tam zaledwie kilka zamieszkanych domów. Dalej po drodze leży Czernichów – wieś z dziewiętnastowieczną drewnianą cerkwią prawosławną będąca w okresie międzywojennym siedzibą gminy. Jeszcze dalej na północ jest Czernichów Dolny. Ten ostatni jest obecnie największą z trzech miejscowości. Szkoła oraz sklep świadczą, że życie tu jeszcze trwa. Ale stałych mieszkańców pozostało już niewiele. Są tu przeważnie starsi ludzie, bo młodsi po ukończeniu szkoły wyjeżdżają do miast na studia albo na pracę i już nie wracają.

Dane o dziejach dolnego Czernichowa są bardzo skąpe. W XIX wieku właściciele majątku zmieniali się. Byli to spoczątku Rdułtowscy, po powstaniu zaś listopadowym majątek objął pułkownik rosyjski w stanie spoczynku o nazwisku Pawłow. W końcu stulecia dwór przeszedł do Hartinghów. Była to rodzina holenderska. Pierwsi







Hartinghowie osiedlili się na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego na początku XIX wieku i już przez pokolenie całkowicie się spolszczyli. Należało do nich kilka dworów, z których największym i najbogatszym był dwór w Snowiu. Wiadomo, że w 1926 roku właścicielem Dolnego



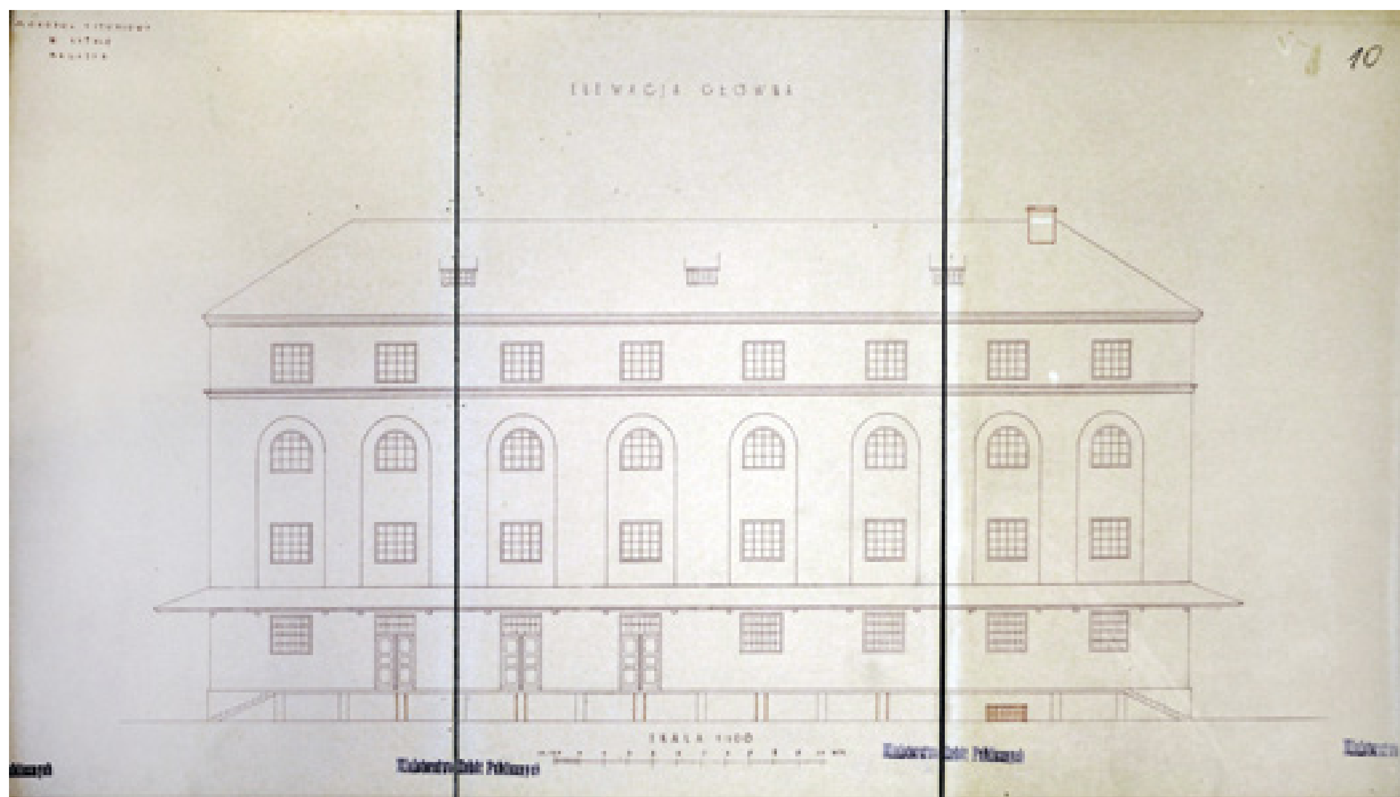
Czernichowa był Gustaw Hartingh. W tym samym roku miejscowe dobra przeznaczone były do przymusowego wykupienia w związku reformą rolną.

Żeby zobaczyć byłe budynki dworskie należy skręcić z szosy mińskiej w stronę Dolnego Czernichowa. Są na samym początku wsi. Po lewej stronie od drogi stoi wiejska szkoła zbudowana na fundamentach domu mieszkalnego, od którego pozostały jedynie fragmenty schodów. Po prawej stronie znajdują się olbrzymi budynek gorzelni oraz były dom pracowników. Są już od dawna porzucone i upadają w ruinę, a jednak mają swój mroczny urok, zwłaszcza mglistym jesiennym dniem. Bardzoby się nadawały do kręcenia scen z filmów mistycznych.

W piętrowym domie mieszkali prawdopodobnie pracownicy gorzelni. Po wojnie na piętrze były mieszkania dla pracowników kołchozu, zaś na dole działał wiejski sklep. Od lat 1990ch dom stoi pusty i z dnia na dzień niszczeje. Wcześniej zdobiony był przez piękne kafle z ornamentami, których fragmenty można znaleźć wewnątrz.

Gorzelnia w Dolnym Czernichowie swoją architekturą przypomina wielu innych podobnych budynków w kresowych dworach. Handel spirytusem przynosił wówczas właścicielom spore zyski, ziemianie chętnie więc budowali gorzelnie, gdy mogli na to sobie pozwolić. W okresie powojenna budynek został upaństwowiony i nadal działał, a nawet został rozbudowany. Dopiero w końcu zeszlego wieku gorzelnia została zamknięta. Co ciekawe stara cegła okazała się o wiele trwalszą niż sowiecka, gdyż nowoczesne przybuduwki już częściowo się zawaliły, zaś autentycznym ścianom nic się nie staje.

ALEKSANDER WASZCZUK



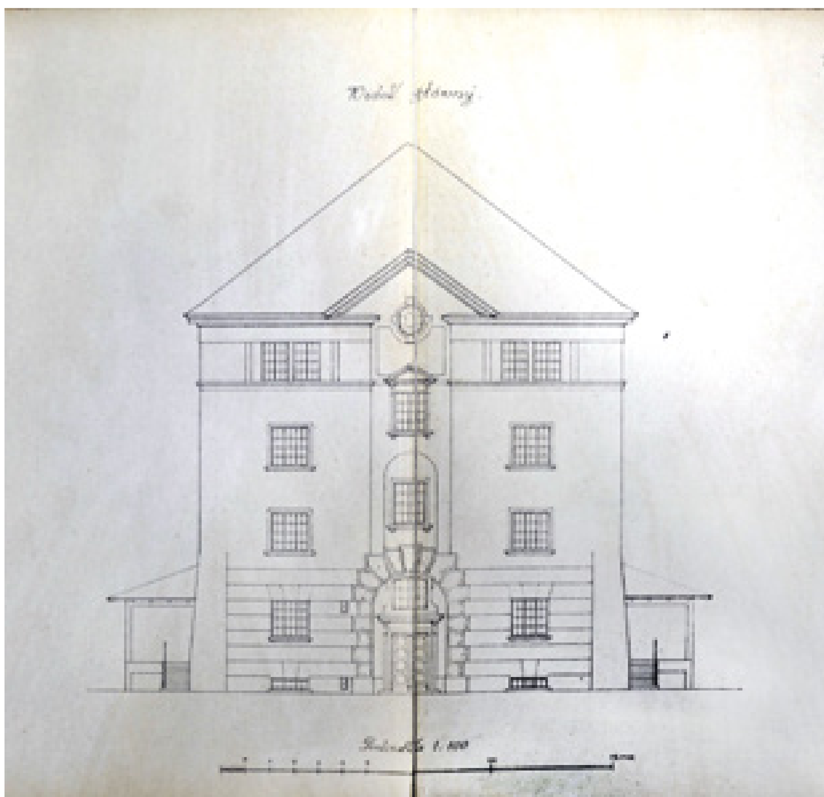
BUDYNEK MONOPOLU TYTONIOWEGO W BARANOWICZACH



Ciekawy zabytek z okresu międzywojennego znajduje się w Baranowiczach w pobliżu Poleskiego dworca kolejowego. Zwraca uwagę dzięki swym dużym rozmiarom, ponieważ mieści się w sąsiedstwie małych domów prywatnych. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że jest to zwykły budynek administracyjny powstały w okresie sowieckim. Na samej jednak sprawie został zaprojektowany przez polskiego architekta jako magazyn Monopolu Tytuniowego.

Budynek został rozpoznany przez badacza architektury dr. Michała Pszczółkowskiego, który to odnalazł w zbiorach Archiwum Akt Nowych jego projekt. Według naukowca, autorem projektu jest warszawski architekt Teofil Wiśniewski. Ten sam architekt prawdopodobnie projektował podobne obiekty dla PMT w Kutnie i Tarnopolu.

Monopol tytoniowy wprowadzono w II





Rzeczypospolitej w 1922 roku. Jednak brak środków na wykupno fabryk prywatnych sprawił, że w ciągu kolejnych dwuch lat wyroby tytuniowe produkowały zarówno fabryki państwowe i prywatne, uiszczając opłatę akcyzową od produkcji za pomocą systemu banderoli.

Wzrost produkcji spowodował, iż w latach 1930ch Polski Monopol Tytoniowy (PMT) stał się wielkim przedsiębiorstwem, dysponującym kilkunastoma fabrykami na terenie całego kraju. W większości z nich do dziś produkuje się wyroby tytoniowe. Dla przechowywania surowca zagranicznego powstało pięć wielkich magazynów, zaś jeszcze pięć utowrzono dla fermentacji i przechowywania surowca krajowego przeznaczonego na tańsze gatunki wyrobów.

Część budynków PMT stanowiły obiekty adaptowane, ale powstało też sporo nowych inwestycji. Oprócz wielkich, modernistycznych magazynów (jak np. w Grodnie, wybudowanym w 1931 roku na podstawie projektu Stefana Szyllera) powstawały też mniejsze. Jednym z nich był budynek magazynu PMT, wybudowany w Baranowiczach w 1930 roku. Obok miał wówczas stanąć dom administracyjny przedsiębiorstwa, nie doczekał się jednak realizacji.

Własnej produkcji wyrobów tytuniowych w Baranowiczach nie było. Zdaniem Michała Pszczółkowskiego, miejscowy magazyn miał zaopatrywać fabryki w Grodnie, Wilnie albo w Białymstoku. Budynek przetrwał II wojnę światową i zachował się niemal bez zmian. Jest to reprezentacyjny obiekt w stylu w stylu narodowego tradycjonalizmu. Wysoka, zwarta bryła byłego magazynu została przekryta wysokim dachem. Część okien zamknięto półkolistymi płycinami, nawiązując w ten sposób do reneansowych arkad. Narożniki podkreślono szkarpami – bardzo popularnym motywem w polskiej architekturze tradycjonalnym, a wejście, umieszczone na osi fasady wyeksponowano za pomocą ryzalitu. Obecnie w budynku rozmieszczone różne biura kolejowe.



ALEKSANDER WASZCZUK

W HRUSZOWEJ U MARII RODZIWICZÓWNY

Hruszowa – mała osada zagubiona na białoruskiej prowincji niczym nie różni się na pierwszy rzut oka od setek jej podobnych, prząśnych, zaniedbanych, naznaczonych kołchozowym piętnem wsi. I nie byłoby żadnego powodu, żeby ją odwiedzić, gdyby nie spędziła w niej bez mała pół wieku Maria Rodziewiczówna.



Stary dom w Hruszowej pamiętający czasy Marii Rodziewiczówny

Kiedy opuściliśmy szosę biegnącą z Kobrynia do Pińska i po przejechaniu boczną drogą dwóch kilometrów znaleźliśmy się w opłotkach Hruszowej, poczęliśmy szukać śladów pozostawionych przez słynną pisarkę. Powinno być ich mnóstwo, wszak stał tutaj jej okazały, murowany dwór, otaczały go zabudowania gospodarcze, a nieopodal rósł potężny, kilkusetletni dąb, którego uczyniła bohaterem jednej ze swoich książek.

Zatrzymujemy się przed sklepikiem mieszczącym się w jakimś parterowym baraczku i zaczepiamy przechodzącego właśnie chwiejnym krokiem mieszkańca wioski. Początkowo nie rozumie, o co go pytamy, ale w końcu dociera do niego, że chodzi nam o usadźbu polskaj piśmiennicy i wskazuje ręką na barak ze sklepikiem w środku. Z niedowierzaniem spoglądamy na budyneczek niczym nie przypominający dworu, ale po chwili dostrzegamy za nim bielejący w pewnym oddaleniu murowany, piętrowy budynek, mogący od biedy przypominać szlachecką siedzibę. Kiedy jednak zbliżamy się do niego, widzimy, że to tylko współczesna, nieudolna imitacja staropolskiego dworu, mieszcząca podstawową szkołę. Natomiast tuż przy nim rośnie potężny dąb. To niewątpliwie legendarny już «Dewajtis». Ale gdzie dwór Rodziewiczów? Jeśli nawet go zburzono, to musiały pozostać po nim jakieś resztki. Wychodzimy znowu przed sklepik i znowu otrzymujemy informację, tym razem od mieszkanki Hruszowej, posługującej się zupełnie poprawną polszczyzną, iż ten obskurny budyneczek, wyglądający jak barak, jest resztką dworu – fragmentem jego bocznego skrzydła, pozbawionego piętra.



Dwór Rodziewiczów w Hruszowej - zdjęcie z 1936 roku

Tyle zostało z dworu Rodziewiczów



Tyle zostało z murowanego, dwukondygnacyjnego, dziewięcioosiowego budynku, z czterokolumnowym portykiem w wielkim porządku, znajdującego się na wprost istniejącej niegdyś bramy wjazdowej. Z długiego, piętrowego lamusa, ozdobionego dziesięcioma kolumnami, ustawionego pod kątem prostym na lewo w stosunku do dworu, nie pozostało żadnego śladu. Podobnie jak ze spichlerza zamykającego z prawej strony dziedziniec dworski, także dwukondygnacyjnego, z galeryjką oraz czterokolumnowym, graniastosłupowym portykiem od szczytowego boku.

Tak rozplanowany dwór zbudował w 1825 roku dziadek Marii Rodziewiczówny, Antoni Rodziewicz, chorąży kobryński, ożeniony z Eleonorą z Giełgudów. Jego ojciec, Seweryn Rodziewicz, kupił Hruszowę w końcu XVIII w. od rosyjskiego marszałka polnego, Aleksandra Suworowa. Pierwotnie majątek ten należał do kniaziów kobryńskich, następnie do rodziny Paców, potem Sanguszków, by w końcu stać się królewszczyzną na mocy edyktu wydanego przez króla Zygmunta Starego. Po trzecim rozbiorze Polski caryca Katarzyna II ofiarowała go wraz z całym kluczem kobryńskim swojemu najwybitniejszemu dowódcy, Aleksandrowi Suworowowi.

Antoni Rodziewicz (1777-1839) herbu Łuk należał do starego rodu szlacheckiego, znanego już w XV wieku, a wywodzącego się z Rodziewicz koło Holszan w powiecie oszmiańskim. Miał on dwóch synów: Teodora (?-1877) i Henryka (1835-1881), którym w spadku pozostawił swój majątek. Starszy Teodor otrzymał Hruszowę, młodszy Henryk – Pieniuhę leżącą w pobliżu Różany. W Pieniusze przyszła na świat czwórka dzieci Henryka, ożenionego z Amelią z Kurzenieckich. Najmłodszą z nich była Maria Rodziewiczówna, urodzona 2 lutego 1864 r., w czasie kiedy jej ojciec został zesłany na Sybir za pomoc udzielaną powstańcom styczniowym. Matce pozwolono zostać w domu tylko do czasu urodzenia Marii. Po porodzie i ona podążyła śladem męża, Marią zaś i jej starszym rodzeństwem zajęli się dziadkowie Kurzenieccy, a po ich śmierci spokrewniona z Rodziewiczami Karolina Skirmunttowa z Korzeniowa. W 1871 r. wracają po 7 latach zesłania rodzice Marii, ale nie wolno im osiąść w swoim majątku. Zabierają więc dzieci i osiedlają się w Warszawie, nie posiadając, niestety, żadnych środków do życia. Gdyby nie pomoc dalekiego kuzyna, Ksawerego Pusłowskiego, który zatrudnił Henryka Rodziewicza w charakterze zarządcy jednego ze swoich majątków, przymieraliby niechybnie głodem.

W 1875 r. umiera bezdzietnie Teodor Rodziewicz, więc należąca do niego Hruszowa staje się własnością brata Henryka, który wraz z rodziną przenosi się do niej niezwłocznie. Radość Marii z pozyskania własnego majątku najlepiej oddają napisane przez nią słowa: Nasze! Swój ogród, swój sad, swoja strzecha nad głową, pewna i cicha, i mleko pachnie trawami, ciepłe po udoju... wszystko swoje! Każdego dnia, na zawsze. Na razie jednak przyszła właścicielka Hruszowej nie może cieszyć się własnym domem, zostaje bowiem wysłana do Jazłowca, gdzie pobiera do 1879 r. nauki na pensji sióstr niepokalanek. Kiedy w 1781 r. umiera Henryk Rodziewicz, majątek przejmuje syn, również Henryk, który nie pali się jednak do prowadzenia dużego gospodarstwa i przekazuje je młodszej siostrze pod warunkiem uzyskania od niej odpowiedniej spłaty. Maria Rodziewiczówna energicznie zabiera się do gospodarowania na roli, której obszar przekracza półtora tysiąca hektarów. Do 1900 r. reguluje długi zaciągnięte jeszcze przez stryja Teodora oraz przez ojca, spłaca rodzeństwo i staje się jedyną panią na Hruszowej. Obok zarządzania dużym gospodarstwem rolnym prowadzi ożywioną działalność społeczną: utrzymuje szkołę dla wiejskich dzieci i opłaca nauczycielkę, zakłada bibliotekę, ochronkę i punkt sanitarny, pomaga katolikom odzyskać kościół w Horodcu, a potem opłaca jego remont, finansuje budowę kościoła w Antopolu i zabiega, aby znalazły się w nim relikwie św. Andrzeja Boboli, zamordowanego w XVII w. w pobliskim Janowie, za jej sprawą w »»»

»»» Horodcu siostry urszulanki zakładają dom zakonny i prowadzą akcje charytatywne i edukacyjne w powiatach kobryńskim, drohiczyńskim i pińskim.

Dzięki Marii Rodziewiczównie dwór w Hruszowej stał się ośrodkiem kulturalnym, stanowiącym pewien wzorzec dla okolicznej ludności, a także placówką medyczną, w której włościanie otrzymywali pomoc w razie zachorowania. Stosunki z miejscową ludnością układały się jednak różnie. Nie obyło się bez scysji na styku dziedzic – parobek. W 1890 r. Rodziewiczównie groził nawet 2 tygodniowy areszt za pobicie pastucha, zaś 10 lat później ktoś celowo podpalił jeden z jej folwarków. Ale gdy minęło 50 lat od rozpoczęcia przez nią władania Hruszową i w tym samym roku obchodziła jubileusz 50-lecia pracy literackiej, hruszowscy chłopi podarowali jej album z dedykacją: Sprawiedliwej Pani i Matce za 50 lat wspólnej pracy, kupili też dzwon do odzyskanego przez nią kościoła w Horodcu i za darmo zwieźli cegłę na budowany dzięki jej staraniom katolicki kościół w Antopolu.

W 1882 r. nastąpił debiut literacki Marii Rodziewiczówny – «Dziennik Anonsowy» wydrukował jej dwie nowelki: Gamę uczuć i Z dzienniczka reportera. W 1884 r. w redagowanym przez Marię Konopnicką «Świcie» ukazało się opowiadanie Jazon Bobrowski, a rok później humoreska Farsa panny Heni. Jej debiut powieściowy to Straszny dziadunio, opublikowany w odcinkach także przez «Świt» w 1886 r. Przez następne lata, mieszkając i gospodarując w Hruszowej aż do 1939 r., Maria Rodziewiczówna napisała 36 powieści. Te, które powstały przed 1918 rokiem, a więc przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, miały za przesłanie obronę polskości na Kresach Wschodnich, utrzymanie ziemi w polskich rękach, przedkładanie patriotyzmu i religijności nad dobra materialne. W takich książkach jak Dewajtis, Klejnot, Gniazdo Białozora, Barbara Tryźnianka, Czahary czy Jaskółczym szlakiem czyni polski dwór, w sposób po części zawoalowany, ostatnim bastionem polskości na ziemiach zagrabionych przez Rosjan. Pisze dużo, co roku ukazuje się jedna, a niekiedy nawet dwie jej powieści. Honoraria autorskie w dużej mierze przyczyniają się do ratowania podupadającego majątku w Hruszowej. W 1911 r. wraz z przyjaciółkami – Jadwigą Skirmunttówną i Marią Jastrzębską – przeprowadza się do zbudowanej w lesie prymitywnej chatki, by spędzić w niej kilka tygodni, a potem napisać Lato leśnych ludzi – jedną z jej najbardziej poczytnych powieści, zachwycających przede wszystkim tych, którzy bez wahania porzucają zdobycze współczesnej cywilizacji, aby obcować z naturą w ciszy i spokoju, z dala od cywilizacyjnego rozgardiaszu.

W okresie międzywojennym pisze znacznie mniej, dużo natomiast czasu poświęca pracy społecznej w myśl głoszonej przez siebie zasady: Są dwie potęgi, którym trzeba dać wszystko, a w zamian nie brać nic – to Bóg i Ojczyzna. W 1918 r., podczas pobytu w Warszawie, została mianowana komendantką Kobiecego Komitetu Ochotniczej Odsieczy Lwowa na miasto Warszawę, z poleceniem prowadzenia biura werbunkowego i zbiórki żywności i leków, działała w Polskim Czerwonym Krzyżu jako sekretarka w Komitecie Głównym; w Hruszowej założyła kółko rolnicze «Mozół» skupiające okolicznych ziemian oraz bibliotekę, przedszkole, przytułek i placówkę medyczną dla miejscowej ludności, doprowadziła do rozpoczęcia w 1925 r. budowy «Domu Polskiego» w Antopolu, sfinansowała rozbudowę gimnazjum w Kobryniu, stała się protektorką i współzałożycielką Związku Szlachty Zagrodowej.

Mimo wielu społecznych obowiązków i pracy literackiej, nie zaniedbywała majątku i dworu, w którym mieszkała wraz z Jadwigą Skirmunttówną, daleką krewną i nieodłączną przyjaciółką. Matka, babka i starsza siostra Marii zmarły w latach 90. XIX w., a obszerny dwór służył tylko dwóm osobom. Dlatego pomieszczenia na piętrze stały puste, zamieszkane były pokoje na parterze i to jedynie od strony ogrodu. Było ich po trzy z obu stron sieni, o skromnym wystroju i umeblowaniu. Tylko salon wyróżniał się

starymi, dębowymi meblami i galerią portretów rodzinnych oraz jeden z pokojów gościnnych, zwany «szwedzkim» ze względu na znajdujące się w nim meble, wykonane wprawdzie w Hruszowej, ale według wzorów przywiezionych przez Rodziewiczównę ze Szwecji. Pokój biblioteczny mieścił kilkusettomowy księgozbiór, w którym dominowała literatura piękna, jadalnię zaś zdobiła duża kolekcja porcelany polskiej i obcej, umieszczona w obszernym kredensie, oraz rzeźbione zydle ustawione wokół rozsuwanego stołu.

Ogród otaczający dwór trudno było nazwać parkiem, gdyż nie było w nim regularnie poprowadzonych alejek ani szpalerów drzew lub boskietów czy wypielęgnowanych rabat z kwiatami. Drzew, zarówno liściastych, jak i iglastych, było mnóstwo, ale rosły one porozrzucane dość chaotycznie, poprzeplatane drzewami owocowymi. Królował wśród nich 500-letni dąb «Dewajtis», od którego nazwy wzięła tytuł najpoczytniejsza bodajże powieść Rodziewiczówny. W ogrodzie znalazła miejsce pasieka, której poszczególne ule nazwano imionami polskich królów i królowych oraz przeniesiona z lasu chatka, w której w 1911 r. autorka



Dąb «Dewajtis» // dworypogranicza.pl

Lata leśnych ludzi mieszkała przez kilka tygodni ze swoimi przyjaciółkami.

Wybuch II wojny światowej zastał Marię Rodziewiczównę w Hruszowej. Kiedy 22 września 1939 r. wkroczył do niej oddział Armii Czerwonej, mieszkańcy wsi zawiązali jakiś bolszewicki komitet i oświadczyli Rodziewiczównie, że przejmują jej majątek. Zapewne wyrzuciliby ją z dworu albo postąpili jeszcze gorzej, jak to czynili w tym czasie białoruscy chłopi z polskimi ziemianami w okolicznych majątkach, gdyby nie interwencja sowieckiego oficera. Przyjęty przez właścicielkę hruszowskiego dworu chlebem i solą, przyznał się, że czytał niegdyś jej książki, chłopom zaś nakazał pozostawić pisarkę w spokoju. Maria Rodziewiczówna i Jadwiga Skirmunttówna zamieszkały w dwóch najmniejszych pokoikach, ale słysząc, co dzieje się z właścicielami położonych w pobliżu majątków, postanowiły opuścić Hruszową, tym bardziej że na ich oczach reszta pomieszczeń dworu została splądrowana, meble i inne znajdujące się w nich przedmioty rozkradzione, księgozbiór i archiwum spłonęły w ognisku rozpalonym na dworskim dziedzińcu. Nim jednak dojrzały do samodzielnego opuszczenia dworu, zostały pod eskortą odwiezione 7 października do Kobrynia. Stamtąd, używając fałszywych dokumentów, z pomocą młodej ziemianki, Wandy Malinowskiej, przedostały się w końcu grudnia do Generalnej Guberni, do obozu przejściowego w Łodzi, skąd wydobyła je zaprzyjaźniona rodzina Mazarakich i zabrała do swojego majątku w Żelaznej pod Skierniewicami. Z początkiem 1940 r. przeniosły się do Warszawy i w niej spędziły w bardzo ciężkich warunkach materialnych resztę lat okupacji. Po upadku Powstania Warszawskiego schorowana Maria Rodziewiczówna opuściła Warszawę i zatrzymała się ponownie w Żelaznej u Aleksandra Mazarakiego. Podczas pobytu w leśniczówce Leonów zapadła na zapalenie płuc i zmarła tam 6 listopada 1944 r. Pochowana początkowo na cmentarzu w Żelaznej, spoczęła ostatecznie 11 listopada 1948 r. w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach. »»»

»»» Tymczasem wkrótce po zakończeniu działań wojennych dwór w Hruszowej został zniszczony, na jego terenie zbudowano bazę remontową kołchozu, potem szkołę i budynki mieszkalne dla kołchoźników. Większość drzew w parku wycięto, również owocowych, zostawiając jednak liczący sobie ponad 500 lat «Dewajtis» i kilka innych wiekowych dębów i lip. W miarę upływu lat hruszowianie zapominali powoli o słynnej pisarce i dziedziczce z Hruszowej, tym bardziej że z każdym rokiem ubywało tych, którzy stykali się z nią osobiście. Nie czuli zresztą chyba potrzeby kultywowania pamięci o niej, obcej im klasowo i kulturowo. I zapewne nikt z mieszkańców wsi nie pamiętałby dzisiaj już o niej, gdyby nie rozpadł się ZSRR. Dzięki temu możemy teraz bez większych kłopotów przekraczać granicę polsko-białoruską, docierać bez przeszkód do najbardziej zapadłych białoruskich wsi i kontaktować się z ich mieszkańcami, mającymi często polskie korzenie, przypominając im zapomniane już przez nich wydarzenia i postaci, które odegrały niebanalną rolę zarówno w historii Polski, jak i Białorusi czy Wielkiego Księstwa Litewskiego.



Tablica upamiętniająca Marię Rodziewiczównę

Krążąc wokół dawnej siedziby Marii Rodziewiczówny, widzimy, że te kontakty odegrały pozytywną rolę również w Hruszowej. Jej mieszkańcy, nawet ci najmłodsi wiedzą już, kim była mieszkająca tu przed laty dziedziczka. Stało się to dzięki pamiątkowej tablicy, ufundowanej w 1994 r. przez Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia z Warszawy, z napisem w języku polskim i białoruskim: Pamięci wielkiej polskiej pisarki Marii Rodziewiczówny (1864-1944) wdzięczni za jej twórczość, niniejszą ustawioną pod dębem «Dewajtis» tablicę fundują rodacy. A w szkole zbudowanej na dawnym dziedzińcu dworskim znalazło miejsce mini muzeum, w którym obok eksponatów etnograficznych znajduje się kącik poświęcony polskaj piśmiennicy.



Szkoła zbudowana na dawnym dworskim dziedzińcu

W przewodniku Grzegorza Rąkowskiego «Czar Polesia» z 2001 r. przeczytaliśmy, że na odległym o 1 km od Hruszowej starym cmentarzu znajdują się odnowione ostatnio groby rodziców pisarki i jej starszej siostry Celiny. Jedziemy tam, żeby je zobaczyć. Szukamy ich jednak bezskutecznie, przeczesując kwartał za kwartałem. W końcu od napotkanych dwóch starszych kobiet dowiadujemy się, że rzeczywiście były tu kiedyś te groby, ale teraz już ich nie znajdziemy, bowiem kamienne nagrobki zostały z nich zabrane i zrobiono z nich schody w wiejskim sklepie.

Zawiedzeni wracamy do Hruszowej, żeby raz jeszcze zerknąć na to, co pozostało z dworu wydatnaj polskaj piśmiennicy. I znowu widzimy mizerne po nim ślady, a jedyną pociechą pozostaje «Dewajtis», szumiący tak samo jak za czasów, kiedy siadywała pod nim Maria Rodziewiczówna.

Światosław Janoczkin

PAWEŁ RZEWUSKI «SYN BAGIEN»

Szanowna Redakcjo «Ech Polesia»,

Nie każdy dzień możemy się cieszyć z nowych książek o Polesiu. Tym bardziej tych pisanych w stylu retro historii. Akurat w tym roku w redakcji «Wiadomości Literackich» zobaczyła świat książka Pawła Rzewuskiego «Syn bagien».

Czytelnicy na pewno wiedzą, jak bliskie mi jako krajoznawcy i ukochane są tematy, związane z Kresami Wschodnimi oraz samym Polesiem. Do tego dziejące się w jednym z moich ulubionych okresów w historii, czyli XX-leciem międzywojennym. Więc grzechem byłoby nie sięgnąć po «Syna bagien» Pawła Rzewuskiego. Mamy tu świetne połączenie retro-kryminału z powieścią przygodową. Do tego całość zanurzona w szpiegowsko ezoterycznym sosie z posypką w postaci mitologii słowiańskiej.



Kapitalny opis Polesia, części Polski z dwudziestolecia międzywojennego. Jego różnorodności, kultury i wszystkiego stało się częścią Polski i co brakło, aby stało się częścią Polski.

Dzieje, między innym, odbywają się w Dawidgródku. Cóż, zazdroszczę szczerze, że Pan Paweł Rzewuski poszedł w stopy Ludwika Kondratowicza – Syrokomli, który w swoim poemacie «Owidiusz na Polesiu» również przytoczył te sąsiednie z Łunińcem miasteczko:

«… A poeta, wygnaniec, z głodu i ze smutku,
W dobrach Radziwiłłowskich umarł w Dawidgródku.
Dotąd jego imieniem góra się nazywa…
Otóż czułych poetów dola nieszczęśliwa!»

… całkiem zapominając, że symboliczna mogiła Owidiusza znajduje się w Kożangródku powiatu Łuninieckiego.

Bardzo polecam Czytelnikom «Ech Polesia» tę pozycję i przytaczam poniżej kilka recenzji tej książki ze źródeł otwartych.

Z POWAŻANIEM, ŚWIATOSŁAW JANOCZKIN.

Od redakcji «Wiadomości literackich».

PRZEDWOJENNA POLSKA, O JAKIEJ ISTNIENIU NIE ŚNILIŚMY W NAJGORSZYCH KOSZMARACH.

Kapitan Maurycy Jakubowski i śledztwo, w którym przyjdzie mu się mierzyć z siłami nie tylko z tego świata…

Rok 1937. Na dzikiej, miejscami pogańskiej ziemi Polesia dochodzi do serii okrutnych morderstw i zaginięć. Podejrzenia kierują się w stronę Wacława Kostka-Biernackiego – wszechwładnego wojewody poleskiego. To ubóstwiany przez mieszkańców, znienawidzony przez przeciwników politycznych i podejrzany o konszachty z samym diabłem niepodzielny władca.

Jednym z zaginionych w odmętach poleskich bagien jest kapitan kontrwywiadu Adam Staff. Dowództwo w ślad za nim posyła młodego i ambitnego Maurycego Jakubowskiego, który niczym kapitan Marlow podąża na spotkanie z poleskim Kurtzem – Wacławem Biernackim.

Czy plotki o tym, że wojewoda składa swoje ofiary na ołtarzu szatana, okażą się prawdziwe? Maurycy trafia do Dawidgródka, poleskiego Twin Peaks, miejsca pełnego degeneratów, alkoholików oraz wyznawców Stalina i Hitlera. Chcąc rozwikłać zagadkę, będzie musiał wejść w świat pradawnych wierzeń i przerażających rytuałów, których istnienia nawet nie podejrzewał.

Niezwykły kryminał z potężną dawką historii przedwojennej Polski. Erudycja i umiejętność snucia opowieści – to wyróżnia Pawła Rzewuskiego, który do tej pory dał się poznać jako autor książek o historii dwudziestolecia, a teraz próbuje sił w zupełnie nowym gatunku. Z powodzeniem! »»»

»»» DEMONY POLESIA

« – ... detoriubus nostris et Ne nos inducas in tentatione, sed libera nos a Malo – szepcze Stefanek.

– Ktoś ty?!

Cisza. Idzie na nas. Koń, jakby ktoś mu szaleju podał, znów wierzga i rży. Coś idzie i idzie.

– Ktoś ty?!»

Po lekturze niektórych książek w głowie pozostaje mętlik. Sami zadajemy sobie pytanie, co właściwie sądzimy o danym tytule? Czy nam się spodobał? Czy było to przyjemne zaskoczenie, czy raczej przykre rozczarowanie? Jak napisać recenzję danej powieści, gdy sami nie do końca jesteśmy pewni naszych odczuć?

Takie właśnie myśli kłębiły mi się w głowie po przeczytaniu najnowszej książki Pawła Rzewuskiego pod tytułem «Syn bagien». Autor jest znanym historykiem. Czytelnikom dał się już poznać z kilku publikacji, w których opisywał różne aspekty historii II RP. Tym razem wkroczył na nowy dla siebie teren. W pewnym sensie można więc powiedzieć, że «Syn bagien» jest jego powieściowym debiutem.

Jak autor wypadł w zupełnie nowej dla niego formie? O czym jest powieść Pawła Rzewuskiego? Akcja rozpoczyna się na wiosnę roku 1937. Kapitan Maurycy Jakubowski, pełniący służbę w słynnym Oddziale II Sztabu Generalnego, zostaje wezwany przez przełożonych na rozmowę. Ze zdziwieniem zauważa, że za biurkiem siedzi sam premier. Bez trudu domyśla się więc, że został wezwany w niezwykle ważnej i delikatnej sprawie. Okazuje się, że na Polesiu zaginął jego przyjaciel, również pracownik kontrwywiadu. Jakubowski zostaje więc wysłany na miejsce, aby tam poznać prawdę.

Tak trafia na Polesie, niezwykłą krainę w II RP. Szybko orientuje się, że jest to miejsce tajemnicze, rządzące się swoimi prawami. Zupełnie niepodobne do Warszawy. Wszyscy wypowiadają tu z bojaźnią jedno imię: wojewody Kostka-Biernackiego. Na Polesiu rządzi on twardą ręką i biada temu, kto odważy mu się sprzeciwić. Czy jednak może być prawdą to, co gadają miejscowi? Czy wojewoda istotnie zaprzedał swą duszę diabłu? Czy to on ma coś wspólnego z serią tajemniczych zaginięć i okrutnych morderstw, które wstrząsają całą okolicą?

Kapitan Maurycy Jakubowski szybko orientuje się, że nie jest mile widzianym gościem. Jedni widzą w nim urzędnika z Warszawy, który potrafi tylko teoretyzować. Inni nie chcą z nim rozmawiać, tłumacząc to tym, że i tak nie zrozumie. Czy Maurycy odnajdzie się w gąszczu ludowych wierzeń, przesądów i guseł? Czy będzie umiał sprytnie poruszać się w labiryncie miejscowych układów i zależności? Czy będzie wiedział, komu zaufać a kogo się obawiać? Wreszcie, czy odkryje prawdę i odnajdzie zaginionego przyjaciela? Okoliczności są dalece niesprzyjające. Gdy dodamy do tego wszystkiego piękne kobiety, sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej.

«Syn bagien» to nie jest łatwa powieść. Powiem szczerze, że momentami nużyła mnie ta książka i miałem ochotę odłożyć ją na półkę. Jednak w pewnym momencie, gdy akcja przyśpiesza, to ciągnie ona za sobą również czytelnika chcącego poznać rozwiązanie zagadki. Paweł Rzewuski głównym bohaterem swojej powieści uczynił tak naprawdę miejsce, w którym rozgrywa się akcja. Wszystkie inne postaci są tylko tłem na scenie, jaką jest ten tajemniczy region. Polesie z książki to świat zupełnie inny od tego, jaki zna Jakubowski. Tamtejsi mieszkańcy są ludźmi prostymi.

Właściwie nie identyfikują się z żadną narodowością. Mocno podkreślają, że są po prostu «tutejsi». Ogromną rolę w ich życiu odgrywają lokalne wierzenia i przesądy. Śmiało można powiedzieć, że Polesie to miejsce, gdzie cywilizacja jeszcze nie dotarła.

Jednak jest w tej powieści także coś irytującego. Liczne sny i wizje, których doświadcza Maurycy, zaburzają ciągłość akcji i wymagają od czytelnika maksymalnej uwagi. Moim zdaniem jest ich po prostu za dużo. Także relacje kapitana z miejscowymi kobietami – cóż, ich opis pozostawia wiele

do życzenia. Autor chyba nie chciał ostatecznie napisać powieści erotycznej?

Podsumowując, jest to powieść niełatwa do ocenienia. Duży plus za miejsce akcji. Polesie zostało popisane niczym jakaś mityczna kraina, a nie jedna z prowincji II RP. Jednak sama fabuła mogłaby być nieco bardziej spójna i tym samym łatwiejsza dla przeciętnego czytelnika. Oceniam na sześć gwiazdek, uznając, że to najbardziej wyważona ocena.

WOJCIECH SOBAŃSKI

PAWEŁ RZEWUSKI – «SYN BAGIEN» – RECENZJA I OCENA.

Polesie to kraina magii. Wiara chrześcijańska wciąż miesza się z obecnością kryjących się w rozległych bagniskach i puszczach pradawnych mocy. Nad tym wszystkim unosi się przerażający cień wojewody...

Paweł Rzewuski jest doktorem filozofii i historykiem. W kręgu jego zainteresowań leży filozofia polityki oraz historia społeczna. W roku 2020 brał udział w warsztatach Identitas na wyspie Uløya. Czytelnikom znany jest z prac *Filozofia Piłsudskiego oraz Grzechy «Paryża Północy»*. Teraz pokusił się o diametralną zmianę gatunku, której efektem jest powieść kryminalna osadzona w realiach międzywojennego Polesia.

Wiosna 1937 r. przynosi kapitanowi Maurycemu Jakubowskiemu z Oddziału Drugiego Sztabu Generalnego (potocznie zwanego Defą) niecodzienną misję. Okazuje się, że na Polesiu zaginął jego przyjaciel, również pracownik kontrwywiadu. Tym samym Jakubowski trafia w bagniste okolice, nad którymi unoszą się dwa cienie: mitycznej bestii Syna Bagien oraz wojewody poleskiego Wacława Kostka-Biernackiego. Wszyscy mieszkańcy zdają się pogrążeni w somnambulicznym bagiennym oparze.

Kapitan Jakubowski trafi wprost w skomplikowany układ przeciwników i zwolenników Diabła z Berezy. Sytuacji nie poprawia seria dziwnych zaginięć oraz okaleczonych rytualnie ciał. Ewidentnie ktoś wzorując się na starej legendzie, próbuje obudzić pradawną moc Syna Bagien. Maurycy sam stanie się ofiarą dawnych rytuałów. Niepokojące sny, wizje, a także gościna u dawno zmarłego szlachcica (która okaże się noclegiem w ruinach spalonego dworu) zachwieje jego konstrukcją. Wycofani tutejsi, również żołnierze KOP (często zesłani na Polesie za karę), nie będą zbyt chętni do współpracy z oficerem Defy.

Paweł Rzewuski bardzo udanie odmalował województwo poleskie. Nie jest ono tak naprawdę częścią II Rzeczypospolitej, ale krainą magii, która rządzą demony: dawne i obecne. Czarna legenda Berezy Kartuskiej, okrucieństwo Kostka-Biernackiego i jego satanistyczne ciągoty idealnie pasują do bagiennych oparów oraz ludności, która określa się od zarania jako tutejsi. Warszawiak Jakubowski jest tutaj zdecydowanie ciałem obcym, a każda z frakcji próbuje przeciągnąć go na swoją stronę lub skutecznie odstraszyć. Do tego dochodzi element intryg przedstawicielek płci pięknej wybitnie zainteresowanych przystojnym oficerem (choć tutaj opis pozostawia wiele do życzenia).

Syn Bagien jest dość wciągającą powieścią z frapująco odmalowanym lokalnym folklorem. Warto więc pokonać niektóre dłużyzny i drobne niespójności fabuły, aby znaleźć rozwiązanie zagadki oraz przekonać się czy taki Diabeł z Berezy straszny, jak go malują. Zanurzenie się w rządzącą się swoimi prawami oraz wierzeniami krainę jest ciekawym doznaniem. Polecam lekturę, ale należy pamiętać, że:

Nad uczniem jest nauczyciel
Nad nauczycielem – dyrektor
Nad dyrektorem – minister
Nad ministrem – premier
Nad premierem – prezydent
Nad prezydentem – marszałek Piłsudski
Nad marszałkiem Piłsudskim – Bóg
Nad Bugiem – Brześć
A nad Brześciem – Kostek-Biernacki.

Recenzja ze strony: https://histmag.org/Pawel-Rzewuski-Syn-bagien-recenzja-i-ocena-23759

Recenzja ze strony: mroczne-strony.blogspot.com

»»»

»»» Pierwsze co rzuca się w oczy i co wyróżnia debiut powieściowy Pawła Rzewuskiego, to miejsce akcji. Polesie, to teren mało wyeksploatowany przez Pisarzy, a Polesie międzywojenne, właściwie chyba wcale. Piszę «chyba», bo oczywiście nie jestem w stanie tego zweryfikować, ale tak czy inaczej dawne pogranicza Rzeczypospolitej, nie są specjalnie popularne w literaturze retro. A szkoda, bo ta lokalizacja ma potencjał, co udowadnia Autor Syna Bagien, wrzucając na głębokie wody (a właściwie bagna) kapitana Maurycego Jakubowskiego – oficera «Dwójki» czyli Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Znaczy, kontrwywiadu, po prostu. Jakubowski przyjeżdża ze stolicy do Dawidgródka z konkretną misją: ma odnaleźć innego agenta – Adama Staffa, który zniknął bez wieści. Panowie znają się od lat, Adam podczas starć z bolszewikami, uratował Maurycemu życie, a zatem kapitan podchodzi do swojego zadania nie tylko poważnie, ale i bardzo osobiście. Staff nie jest jedynym, który zaginął na Polesiu. Coś niepokojącego dzieje się na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej i Jakubowski ma zamiar odkryć prawdę. W całą sprawę najprawdopodobniej jest zamieszany wojewoda poleski Kostek-Biernacki, który rządzi powierzonym mu terenem niczym car, a w okół jego osoby krąży wiele niepokojących plotek. Zaufani ludzie polityka są wszędzie i Jakubowski nie wie komu ufać, a komu nie. Polesie Rzewuskiego jest niczym amerykański Dziki Zachód – surowe, zakurzone i niebezpieczne. Przez cały czas czuć gęstą i mroczną atmosferę tego miejsca, które jest niemalże głównym bohaterem tej historii. Lubię, gdy w powieściach lokalizacja odkrywa znaczącą rolę, tym bardziej w opowieściach retro. Autor, jako zawodowy historyk, jest tu bardzo przekonywujący. Swoją wiedzę wykorzystuje do budowania wciągającej kryminalnej intrygi, jak i szerszego kontekstu. Dawidgródek przypomina z kolei miasteczko Twin Peaks. Oczywiście nie z architektury, bardziej z panującej tu atmosfery. Jest tu bowiem równie dziwnie, hermetycznie i niepokojąco. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze mroczna legenda o zamieszkującym bagna Czarnym Diable, któremu przed laty miano składać ofiary z ludzi. Zresztą dawne słowiańskie wierzenia wydają się tu wciąż obecne, choć aż tak bardzo nie rzucają się w oczy. To kolejny, bardzo ciekawy wątek, który dodaje powieści posmaku grozy. Syn Bagien, to także doskonały portret społeczny dawnego pogranicza. Mamy tu całą paletę charakterów i osobowości. Na piaszczystych ulicach, wśród przechodniów słychać zarówno gwar Poleszuków, jak i język jidisz i polski. Kopuły cerkwi i wieże kościołów przysłaniają drewniane chałupy i modernistyczne budynki państwowe, a wszystko to otaczają gęste lasy i cuchnące siarką bagna. Ten wielokulturowy i wielonarodowościowy tygiel zamknięty na tak małym obszarze, dodaje smaczku całej opowieści, podobnie jak obecny garnizon Korpusu Ochrony Pogranicza strzegący Rzeczpospolitą przed bolszewickimi agentami. Każdy jednak wydaje się mieć tu swoje tajemnice, swoje sekrety, każdy coś kombinuje na boku, każdy ma coś do ukrycia. Ta swoista gra pozorów towarzyszy Czytelnikowi przez całą powieść i sprawia, że ciężko się oderwać od historii opowiadanej przez Rzewuskiego. Mimo, że to debiut, Autor okazuje się być niezwykle sprawnym opowiadaczem, który potrafi przekuć uwagę i skłonić Czytelnika, aby został z nim na dłużej. Nie można też zapomnieć o głównym bohaterze i narratorze w jednej osobie. Maurycy Jakubowski, to postać, którą Czytelnicy powinni polubić. Ja od razu obdarzyłem go sympatią. Jakubowski to człowiek o twardym charakterze, trzymający się swoich zasad moralnych i etycznych, znający swoje ograniczenia i słabości. Wszystko to, a nawet więcej, składa się na niezwykle wciągającą lekturę, której z przyjemnością dałem się pochłonąć. Z mojej strony nie pozostaje nic innego jak polecić Wam tę powieść. To nowa świeżość wśród polskich kryminałów retro i mam nadzieję, że początek dłuższego cyklu. Jeżeli Autor ma takie plany, to trzymam kciuki. Uważam, że kapitan Jakubowski zasługuje co najmniej na sequel. Was z kolei, gorąco zachęcam do lektury Syna Bagien i mam nadzieję, że podobnie jak ja, będziecie mieli same dobre wrażenia.

AUTOR: DARIA CZARNECKA

RYSZARD RADZIK,

OBRAZ SPOŁECZEŃSTWA W POEMACIE JAKUBA KOŁASA «NOWA ZIEMIA»

Мой родны кут, як ты мне мілы!
Забыць цябе не маю сілы!
(Zakątku mój kochany, miły!
Zapomnieć cię ja nie mam siły!)

3 listopada 2022 roku w Stołpcach z okazji 140. rocznicy urodzin otwarto pomnik Jakuba Kołasa, klasyka literatury białoruskiej.

Wydarzenie to zostało bardzo ciepło przyjęte przez miejscową społeczność, gdyż Jakub Kołas (właśc. Konstancin Mickiewicz), powszechnie znany i lubiany na Białorusi poeta, pisarz oraz działacz narodowy pochodził właśnie z pobliskich Okińczyc.

Wykonany z brązu pomnik ustawiono w skwerze obok szkoły przy jednej z centralnych ulic Stołpców. Określono go jako «ludowy pomnik ludowemu poecie» – zbiórka funduszy na jego powstanie miała charakter społeczny.

W uroczystościach przy otwarciu pomnika razem z mieszkańcami Stołpców wzięli udział przedstawiciele władzy wykonawczej i Ministerstwa Kultury RB, obecna była także prawnuczka Jakuba Kołasa Wasilina oraz jego wnuczka Maria Mickiewicz.

Red.

S. Wiele utworów Jakuba Kołasa zostało przetłumaczono także na język polski, w tym jego najbardziej znany poemat «Nowa Ziemia», który jak że barwnie i trafnie odźwierciedla światopogląd i mentalność Białorusinów! – I mimo że od tej pory minął już cały wiek – pozwala lepiej zrozumieć także tych współczesnych oraz to – co, i dlaczego tak, a nie inaczej, dzieje się obecnie na Białorusi, gdyż jak wygląda, ewolucja świadomości narodowej jest o wiele powolniejsza, niż «rewolucja» zewnętrznych warunków bytowania i wydarzeń, a ukształtowane przez wieki cechy charakteru narodowego są zadziwiająco trwałe.

Poniżej prezentujemy Państwu artykuł Ryszarda Radzika, profesora nadzw. Instytutu Socjologii UMCS.

Jakub Kołas (wł. Kanstancin Mickiewicz) swe wielkie dzieło *Nowa Ziemia* pisał od roku 1911 do 1923. Spośród 30 pieśni poematu 8 powstało w 1911 roku, dwie w latach 1919-1920 i szesnaście w następnych dwóch (do 5 stycznia 1923 roku)[1]. Utwór ten powstawał zatem w ciągu niecałych 12 lat, w zasadniczo różnych epokach historycznych: w Rosji carskiej, w latach rewolucyjnego chaosu oraz na samym początku kształtowania się sowieckiej państwowości. Kołas pisał go w latach formowania się białoruskiego ruchu narodowego, w okresie – patrząc z perspektywy ponad ośmiu dziesięcioleci – mimo wszystko stosunkowo sprzyjającym białoruskiemu «odrodzeniu narodowemu». Swą karierę pisarską zaczynał w «odrodzeniowej» «Naszej Niwie» konstruującej nowoczesną białoruską ideologię narodową. Interesujące zatem może być zastanowienie się nad tym, jaką wizję białoruskości zaproponował w swym utworze, porównywanym niekiedy do poematu innego Mickiewicza – *Pana Tadeusza*. Jaki kształt nadał »»»

»»» społeczeństwu białoruskiemu w *Nowej Ziemi?* W jakie idee je wyposażył? Jakiej przyszłości pragnął dla Białorusinów w okresie formowania się białoruskich struktur autonomicznych (formalnie państwowych) w ramach ZSRR? Zatem czy i w jaką misję wyposażył swe wielkie dzieło powstałe w przełomowych dla Białorusin6w czasach? Czy wzorem *Pana Tadeusza* – na którym do pewnego stopnia się wzorował – chciał wpoić Białorusinom narodowy aktywizm, podtrzymać ich na duchu i głosić wielkość białoruskiej historii i kultury? Trudno było o lepszy moment ku temu, niż przełom drugiego i trzeciego dziesięciolecia ubiegłego wieku, tym bardziej, że w przeciwieństwie do literatury polskiej okresu, w którym powstawał *Pan Tadeusz,* Białorusini nie posiadali jeszcze wybitnych dzieł literackich wskazujących im drogę narodowego rozwoju. Wydawać by się zatem mogło, ze pierwsze wielkie dzieło białoruskiej literatury, gdyby uciekło od tematyki narodowej i zakreślania wizji nowoczesnej białoruskości, mogłoby być odebrane – w wymiarze narodowym – jako utwór nieco eskapistyczny.

Wbrew nasuwającym się przypuszczeniom, *Nowa Ziemia* całkowicie unika problematyki narodowej, opisując prawie wyłącznie świat chłopski. Mówiąc ściśle, jej bohaterem jest – co ważne, nieposiadający ziemi – gajowy Michał i jego rodzina żyjąca poza wsią na skraju lasu. Wieś jest raczej w odległym tle. Zapewne Białorusini mówiąc, że są indywidualistami (np. w porównaniu z Rosjanami), mają na myśli indywidualizm prezentowany przez Michała, chłopski, inny od mieszczańskiego, a także szlacheckiego. Prawie niewidoczna jest tu silna chłopska wspólnotowość w jej wymiarze kolektywistycznym.

Panowie, a przede wszystkim półpanki reprezentują w *Nowej Ziemi ś*wiat obcy, *zły,* dziwny, czasami śmieszny, świat, od którego się zależy. Nie są nikomu potrzebni; nie niosą żadnych potrzebnych chłopu wartości. Michał mówi: « – To, bracie, plaga jest, nasłanie,/ Że na tych pan6w my skazani» (s. 657 – w nawiasach podane są strony trójjęzycznego wydania *Nowej Ziemi*[2]*).* Pańskość, to wykwintność, wyniosłość, niesprawiedliwość i ucisk. Panowie odpowiadają za wszelkie krzywdy chłopów, przede wszystkim za ich biedę. Co ciekawe, poemat opowiada o epoce, którą od uwłaszczenia dzielą już trzy dziesięciolecia. Chłopi – acz nie wszyscy – posiadają już ziemię. Do pracy dla Pana nikt ich nie może zmusić, pańszczyzna już nie istnieje. Michał **Ciągle powracają,ca na kartach epopei niechęć – by nie powiedzieć: nienawiść – do panów sprawia wrażenie, jakby chciano zrzucie odpowiedzialność za siebie, za swą biedę i niezaradność na innych. «I haruj, haruj wciąż na pana,/ Bo tyś mu służbą przypisany gajowym być nie musi.** « – możemy przeczytać w pieśni *Na pańskiej służbie* (s. 659). Nie wnika się i nie piętnuje nierzetelnej – jak sugeruje Kołas – pracy gajowego Pamdzieja i jego ewentualnego oszukaństwa. Natomiast w jednoznacznie złym świetle przedstawia się leśniczego kontrolującego prac gajowych – agresywnego i chamskiego. Panowie, a zwłaszcza półpanki przedstawiani są w jednoznacznie ciemnych barwach.

Odstępstwo od tego jest naruszeniem Kołasowskiej reguły. O nowym leśniczym Kołas pisze: «Bo też Rakowski się okazał/ Wredny i groźny jak zaraza/ Miał lisi spryt, fałszywość węża/ I żyło z nim się coraz ciężej» (s. 653).

Jednocześnie o tych chłopach, którzy mają przyjść na gospodarkę opuszczoną przez Michała, po jego przenosinach na swoje, mówi się: «Dla kogożeśmy harowali?/ Hołota tu się jakaś zwali/ Tej ziemi szkoda ugnojonej,/ Co jakimś golcom się dostanie/ I będą się bogacić na niej/ Tym naszym potem i krwawicą,/ [...] – A co poradzim my, biedaki,/ Jak taka dola, los nasz taki?» (s. 619). Bohaterów *Nowej Ziemi* charakteryzuje specyficzna mentalność, dualizm etyczny w stosunku do osób spoza własnej spolecznosci[3] i postawy przedmiotowe wyniesione z okresu pół-niewolnictwa kilku wieków pańszczyzny. **Ciągłe użalanie się nad swoją dolą i zrzucanie odpowiedzialności za swój los na panów jest stałym elementem poematu, powraca na jego kartach niczym mantra.** Można odnieść wrażenie, iż wrogość do panów przybiera w epopei Kołasa charakter wręcz irracjonalny. Zarazem chcącemu kupić gospodarstwo Michałowi gospodarz mówi: «Tu szybko, bracie, będziesz panem/ Z groszem w kalecie uskładanym./ Tu wszyscy chłopi – bogaczami,/ Jadły ich muchy z komarami!» (s. 820). Zatem jednak dobrze być panem – pod warunkiem, że jest nim się samemu. Granice stanowo-klasowe, mimo iż w Kołasowskim poemacie niezwykle silne, nie są bezwzględnie nieprzekraczalne. Chłop-gospodarz Jazep «za małżonkę miał ziemiankę/ Powabną, pełną cnót szlachciankę (s. 691). Wychwalane są w poemacie jego

cnoty oraz szacunek, jakim darzyli go inni chłopi, a także panowie. «Co tu się dziwić – pisze Kołas – że pszczelarze/ Jak jeden mąż z gospodarzami/ Witali tu go z honorami». (s. 691).

Niewątpliwie jednak wymiar klasowy *Nowej Ziemi* zdecydowanie dominuje w społecznej wizji świata Jakuba Kolasa. Silnie tkwi w świadomości Białorusinów przez cały okres sowiecki, aż do dzisiaj. Innym znaczącym elementem tej wizji jest chęć posiadania przez Michała własnego gospodarstwa.

«Bo jemu – czytamy o pragnieniach Michała – co by tam nie było,/ Jedno od dawna się marzyło,/ Coś, czego dotąd nigdy nie miał:/ Własna zagroda, własna ziemia./ Na swoim resztę życia przeżyć/ I od nikogo nie zależeć,/ Nie mieć naczalstwa ani pana» (s. 602). «Zakątek rajski» – tak nazywa swój wymarzony kawałek ziemi Michał (s. 603). To drugi motyw, ciągle powracający w poemacie. Ideałem Kołasowskiego świata z pewnością nie jest bycie panem, ani nawet folwarcznym najemnikiem – lecz gospodarzem, nawet jeśli jest on «za pan brat[...] z pańską modą» (s. 691).

Wolność pojmuje Michał nie narodowo – jak czynią to mieszkańcy Soplicowa – lecz klasowo. Wolność, to własność: «<<Kupić na własność trochę ziemi/ I już nad sobą pana nie mieć... / Niech no na własnym gruncie stanę/ Sam swego życia będę panem!>>» (s. 642). Drobnoszlachecka wolność oparta na własności kawałka ziemi jest pozytywnym odniesieniem dla marzeń Michała: «Lecz żył tu – czytamy w pieśni zatytułowanej «Sesja» – szlachcic szaraczkowy./ Choć jak chłop ciemny, w swej zagrodzie/ Wolnością równy wojewodzie./ Nie zgina przed leśniczym karku,/ Nie zna odrobku ni szarwarku,/ Pole ma własne przy zagrodzie/ I las, i łąkę ku wygodzie .. ./ Aż westchnął Michał z tej zazdrości:/ Czemuż nie on wśród jegomości?» (s. 677). Tak pojmowana wolność – oparta na własności – była zasadniczo sprzeczna z ideologią czasów sowieckich. Jak się wydaje, w BSRR skutecznie wyeliminowano z mentalności chłopskiej dążność do posiadania własnego gospodarstwa. Białoruscy kołchoźnicy w swej masie nie marzą dziś o własnych gospodarstwach i braniu za nie codziennej odpowiedzialności.

Świat chłopski nie jest zresztą w *Nowej Ziemi* idealizowany. Kontakty z panami, zależność, wręcz podległość im, niszczy chłopów. «A cały ład ten z dawna znany/ – opisuje Kotas «sesję, czyli zabranie podległych leśniczemu pracowników – Był na donosach zbudowany/ I jeszcze na tym, że nawzajem/ Ludzie się łacno podgryzają» (s. 680). Kołas z czułością pisze jedynie o rodzinie, więziach łączących poszczegó1nych jej członków. Ale nawet rodzina jest raczej zbiorem silnie ze sobą powiązanych jednostek niż wspó1notą. Żadnej innej wspólnoty w *Nowej Ziemi* nie ma. Chłopi nie są pokazani jako wieś, grupa, lecz jako zbiór krzywdzonych przez panów jednostek, ludzi biednych, różniących się swymi charakterami. Żadnej ideologii poza ideologią «kromki chleba» w białoruskim poemacie nie ma. Utwór jest prawie pozaczasowy, pozahistoryczny, pozaideologiczny, także pozanarodowy. To prawda, że Białorusini nie tworzyli w ostatnim dziesięcioleciu XIX stulecia wspó1noty narodowej, nie dysponowali własną ideologią narodową ani wyraźnie zarysowaną świadomością historyczną, ale Kołas mógł przecież pisząc swe dzieło przed i po I wojnie światowej zaprezentować taką wizję nowoczesnej białoruskości. Uchylił się jednak w *Nowej Ziemi* od roli «budziciela narodowego». Czas płynie w jego utworze wolno, zmieniają się pory roku. Trudno zorientować się, kiedy się dzieje akcja i gdzie. Wyraźnie zarysowanej geograficznie i treściowo (narodowo) ojczyzny ponadlokalnej w *Nowej Ziemi* brak. Jest: «Kraju ojczysty!» i «O kraju mój umiłowany!» (s. 737), prawdopodobnie w rozumieniu kraju jako ojczyzny malej, chłopskiej, lokalnej, pozaideologicznej.

O ile poszczególne wydarzenia utworu nigdy nie zostały czasowo określone – aczkolwiek, jak przypomina redaktor trójjęzycznego wydania *Nowej Ziemi* Jazep Januszkiewicz, pierwsze wydanie poematu zawierało autorskie zastrzeżenie: «Przedstawione w tym poemacie wydarzenia miały miejsce w okresie 1890-1900»[4] – to parokrotnie występujące w Kołasowskiej epopei nazwy topograficzne: Wilno, Nieśwież, Lida. Białoruś jest wymieniona w aspekcie kulinarnym: «Wszystkie przysmaki Białorusi» (s. 693). Określeń: Rosja – Rosjanie, Polska – Polacy, Białorusini – w poemacie brak, albo też występują rzadko, wręcz sporadycznie, np.: «I parę razy był aż w Prusach!/ Gdzie nie zaniesie Białorusa?» (s. 609); «Coś do zjedzenia i wypicia,/ Jak każe białoruski zwyczaj.» (s. 692); «Pozarastały te drożyny/ [...] Nie samosiejką-sosną, brzózką,/ Lecz biedą naszą białoruską... « »»»

»»» (s. 718-719); «Dziś ja tu panem – Michał odparł,/ Wyprężył się, pod boki podparł/ Krzycząc po polsku na Palczyka/ z miną srogiego urzędnika:» (s. 779); «A wódka – trunek uczuciowy,/ Więc się rozczulił rewizowy:/ *Jeszcze Polska nie zginęła,/ Póki my żyjemy!*» (s. 781-782). Białoruskość – w jej różnych odmianach terminologicznych – jest świadomością nazw w jej aspektach toponimiczno-obyczajowych, a nie narodowo-historycznych. Za «białoruską» terminologią kryją się raczej treści etnograficzne, a nie oznaczające kulturę ponadlokalną, «wyższą», narodową.

Świat *Nowej Ziemi* zakreślony jest wokół gajówki, nie tylko geograficznie, ale i problemowo; określa go codzienny byt miejscowego chłopa. Jest to świat zamknięty, etniczny, przedindustrialny. Władza, to obcość, to zło – łączona jest jednoznacznie z bogactwem. «Od władzy – mówi Michał – nikt nas nie wybroni,/ Nie raz ją jeszcze poczujemy/ I nic tu już nie zwojujemy,/ Choć ty zaharuj się człowieku,/ Ubóstwo nas tu tylko czeka/ I z niego nam się nie wyplątać,/ Póki nie kupim swego kąta» (s. 651). Kołas prezentuje świat chłopski, nieco fatalistyczny. Jego bohaterowie są przedmiotem dziejów, a nie ich podmiotem. **Władza jest siłą umieszczoną ponad nimi, w widocznym stopniu destrukcyjną. Jest dana z zewnątrz. Chłopi nie mogą w niej uczestniczyć. Mogą jej ulegać lub oszukiwać ją, a także wyśmiewać.** «W czasie tych sesji, – pisze Kołas o okresowych spotkaniach leśniczego ze służbą leśną – tych zgromadzeń/ Mówili ludzie też o <<władzy>>,/ Którą po cichu wykpiwali/ Lub błędy jej wypominali,/ A to ze śmiechem, a to w złości,/ Rachując swoim panom kości» (s. 679).

W tej w gruncie rzeczy jeszcze silnie sfeudalizowanej społeczności władza, łączona zawsze z panami, była nie tylko obca ale i prezentowała świat chłopu dziwny, a nawet i śmieszny. Pożyteczna była praca chłopa, a nie – tak to widzieli chłopi według badaczy i świadków epoki – stroniących od prac fizycznych władców-panów i półpanków: krzyczących na chłopów, czytających książki i przechadzających się bez celu po sadzie lub lesie. Analizująca folklor białoruski Maria Czurak wskazuje, że chłopi przypisywali panom okrucieństwo, drażliwość na punkcie własnej wielkości, bezczynność, niekiedy naiwność i głupotę, także bezradność, brak chłopskiego sprytu i mądrości. Pan jest bohaterem wielu komicznych, wyśmiewających go opowiesci[5]. Emma Jeleńska pisała o Poleszukach w tych samych latach, w których dzieje się akcja *Nowej Ziemi,* iż: miejscowy lud, odnosząc się do panów, «dziwi się z ich sposobu życia: długo śpiąc z rana, a w nocy siedząc, chodzą bez żadnej potrzeby to do lasu, to przez wieś; w <<pakojach>> ponastawiano rozmaitych cacek, sadzą dzikie nieużywane drzewa koło domu, przy drogach wymyślają <<jakijeto sztuki>>, np. jeżdżą na welocypedach alba zwyczajne stare chaty rysują.

<<Na szto im cheto! Ot, wiedomo, pany>>»[6]. Ten sposób myślenia charakteryzował członków izolowanych społeczności lokalnych ukształtowanych w feudalizmie i odbierających świat etnocentrycznie. W «Nowej Ziemi» widoczna jest znaczna część opisywanych przez Czurak i Jeleńską ówczesnych realiów społecznych.

Czas ogranicza się w Kołasowskim poemacie do czterech pór roku, jego linearność jest słabo zaznaczona (podobnie jak zresztą religia). Ważne jest to, co dzieje się tu i teraz. Przeszłość ma w zasadzie jedynie wymiar rodzinny, a nie historyczny, narodowy. Ten sposób pojmowania czasu charakterystyczny jest dla grupy etnicznej epoki przedindustrialnej. Kołas o swoich bohaterach pisze: «Życie ich takie nieciekawe,/ Żadnego szczęścia, żadnej sławy./ Nie o nich się historię pisze/ I pieśni o nich nie usłyszysz». I nieco dalej: «Bo krótka pamięć u potomnych./ Syn ledwie ojca-matkę pomni/ U prostych ludzi. I jednaka/ Dola każdego jest biedaka:/ Przez życie przebrnie w udręczeniu/ I ginie w wiecznym zapomnieniu» (s. 624-625). Narodowy aktywizm i historyczno-ideologiczna obudowa – tak charakterystyczne dla literatury innych narodów tej części Europy dążących, a następnie uzyskujących wówczas niepodległość – praktycznie nie istnieje w *Nowej Ziemi,* która opisuje współżycie z przyrodą, symbioz z nią, zachwyt nad nią i uleganie jej.

Kołasowski raj mieścił się na wsi. Bohaterom jego poematu obce było Wilno. Miasto – Wilna – należało do panów. «Tu jest ich raj przyobiecany» – pisał Kołas (s. 850). Dla odwiedzającego Wilno stryja Antoniego miasto było ogromnym skupiskiem panów:

No i ruszyli koleżkowie
W aleję między ludzkie mrowie.
Niosąc siermięgi połatane
W miasto, gdzie roi się od

panów. Sami panowie, panny, panie

I wszystko takie pańskie na nich,

[...]

Ależ tych panów! Nie daj Boże! Antoś wytrzymać ledwo może.
Żeby przed nimi nie czapkować

Z chodnika im nie ustępować...» (s.849)

Kołasowski opis chłopskiego widzenia dużego miasta (Wilna) jest dla socjologa perłą wśród ksiąg *Nowej Ziemi.* Jaskrawie widoczna staje się nieumiejętność postrzegania przez wiejskiego przybysza podziałów społecznych w mieście. Dla stryja Antoniego wszyscy w mieście są panami, są bowiem ubrani inaczej niż on. Miasto to anonimowość: «Młodzi i starzy, panny, chłopcy/ Choć obok siebie – sobie obcy,/ Każdy za swoja złudą goni./ I w tym natłoku stryj Antoni/ Też poczuł się osamotniony/ Jak ziarko w ziarnach zagubione» (s. 840). W mieście łączy się obcość z dziwnością: «Piekło dokoła, tłok, jak licho,/ Duchota, nie ma czym oddychać;/ [...] A gawiedź gna, jak do pożaru,/ Aż gną się pod nią trotuary.» (s. 839). Miasto, to oni, prezentuje to, co nieznane i groźne:

« <<oni>> mogli dla przykładu

Wlepić mu sztraf lub wciągnąć w swarkę

I nawymyślać, dać po karku...

Bo wszystko mogli groźni <<oni>>

– Tak sobie myślał stryj Antoni:

<<Oni>> – to zła i ciemna siła

Co pewność swego w nim mąciła;

<<Oni>> są jak ten dopust Boży,

Co człeka całkiem zgnębić może...» (s.843)

Miasto, to także obcy chłopu świat mieszczańskich nawyków i instytucji. Bank ziemski, to dla stryja Antoniego rzeczywistość wcześniej nieznana, w której czuje się zagubiony. Sam opis banku nie pozbawiony jest lekkiej dozy ironii:

Otwiera, patrzy: a przy stolach Pisarczykowie dookoła

Kupkami tkwią, jak gnój na polu, Wodzą piórami, coś gryzmolą i niesie się poskrzypywanie,

Jak od korników w starej ścianie.» (s. 846)

Kołas w obu księgach poświęconych Wilnu zderzył ze sobą dwa całkowicie obce sobie światy. Wiejski (chłopski), jeszcze w zasadzie feudalny, przedkapitalistyczny, w którym dominują styczności bezpośrednie, czas płynie wolno, żyje się w zgodzie z naturą i wśród niej, a podziały (role) społeczne są łatwo czytelne, ze światem miejskim, niosącym obcość, niekiedy zło i zagubienie dla przybysza z zewnątrz, także tłok, anonimowość, większą zamożność i niepokojącą odmienność ról społecznych. Ten drugi, świat mieszczańskich nawyków, elit i bogactwa, długo był obcy Białorusinom, co widoczne było w ich literaturze, przez większość XX wieku ograniczającej się do problematyki wiejskiej. Oswojenie miast polegało w dużym stopniu na ich ruralizacji, co bynajmniej nie było w Europie Środkowowschodniej zjawiskiem nieznanym. Kołas białoruskość (co prawda terminologicznie nieokreśloną) w zasadzie ograniczył do chłopskości i wiejskości. Nie spróbował wmontować w nią wątków elitarystycznych, pokazać, że «nasza» może być także władza, bogactwo, miasta, banki i dworki. Nie kreował nowych realiów tylko odtwarzał stare. **Zamknął białoruskość na świat nowoczesny, miejsko-kapitalistyczny, elitarystyczno-aktywistyczny, wówczas, gdy wiele społeczeństw Europy Środkowowschodniej zdynamizowało swą aktywność: modernizując się i budując własne państwa – nadając przy tym obu procesom silny wymiar narodowy. Białorusini, zamykając swą białoruskość w obrębie wiejskości, osłabili w ten sposób możliwości swego unarodowienia.**

Kołas napisał swe dzieło po białorusku, będąc pod pewnym względem kontynuatorem Czeczota, Dunin-Marcinkiewicza, Kalinowskiego i Bohuszewicza. Wszyscy oni po białorusku opisywali jedynie lud. Czeczot zapisywał białoruskie piosnki wieśniacze. U Marcinkiewicza panowie mówią po polsku, czasami po rosyjsku; jedynie lud jest białoruskojęzyczny. Kalinowski skierowaną do ludu «Muzycą Praudę» redaguje oczywiście po białorusku, a Bohuszewicz swe korespondencje do «Kraju», a więc publicystykę – także listy – pisze po polsku, oprócz utworów skierowanych do ludu. U Kołasa świat «swój», to także wyłącznie lud. Można stwierdzić, że w ten sposób odzwierciedlał istniejące realia – i jest to prawda. Jednakże tylko wyjście poza te realia mogło stworzyć naród. Kołas nie występował przecież w roli etnografa, folklorysty. W naszej części Europy to inteligencja – w tym i ta z chłopskim rodowodem – a więc bardzo często literaci i nauczyciele tworzyli ideologie narodowe i upowszechniali je. Nie ma nowoczesnych narodów bez elit (panów), miast i banków... Kolas był piewcą ludowej białoruskosci, ale »»»

»»» nie białoruskości narodowej. Oczywiście, takich utworów można by wymienić dużo w innych literaturach europejskich. Dlatego powyższe uwagi nie mają charakteru zarzutu, lecz są stwierdzeniem faktu. Co prawda, Polacy, Niemcy czy Francuzi mogli sobie pozwolić na taką literaturę, jako że towarzyszyła im inna – mająca wyraźny wymiar narodowy, a ich ideologia narodowa była w pełni rozwinięta, świadomość narodowa elit wykształcona. Znaczenie *Nowej Ziemi* dla formowania się nowoczesnej kultury białoruskiej, a zatem i pojmowania swej białoruskosci było wyjątkowo duże. Toteż to, iż Kołas akcję swego poematu ograniczył do środowiska wiejskiego, zatem stał się kronikarzem tego świata, a nie jego nowoczesnym, narodowym twórcą, aczkolwiek było to znaczące dla Bialorusin6w – rzecz jasna – nie rozstrzygało o ich przyszłości.

Można by się zastanawiać też nad tym, dlaczego autor Nowej Ziemi tak ceniąc sobie białoruski język swego utworu, nie zastanawiał się nad tym, iż nie obudowując go narodowo – nie wyposażając go w sferę narodowych emocji umożliwiających mu przetrwanie – naraża się na to, że po wielu latach nie będzie miał kto go czytać w języku oryginału, co powoli staje się rzeczywistością. Wieś białoruską pokazał taką jaka była pod koniec XIX wieku, a więc myślącą w kategoriach swojskości i klasowości, zatem etniczności, a nie narodu. **Kołasowski utwór ma charakter anarodowy, nie antynarodowy ale pozanarodowy.** Jest raczej wielkim poematem ludowym niż narodowym. To, jakie szanse miał język białoruski – w którym była napisana *Nowa Ziemia* – na przetrwanie bez obudowania go ideologią narodową, miała rozstrzygnąć przyszłość. Śladu tego, czy Kołas zastanawiał się nad tym, kto w przyszłości będzie w stanie przeczytać utwór w języku, którego w nim nie broni, nie znajdziemy w *Nowej Ziemi.* Skoro miasta nie były «nasze», z czasem stały się sowieckie, a chłop przechodząc do nich (awansując społecznie) przechodził na język rosyjski, bo białoruszczyzna kojarzyła mu się – także wzorem Kołasowskiej *Nowej Ziemi* – z wioską i jego chłopskością – od której przecież uciekał.

Powyższa analiza wielkiego dzieła Jakuba Kołasa obejmuje wyłącznie jego wizję społeczeństwa białoruskiego, mówiąc ściślej – małej białoruskiej społeczności lokalnej, wiejskiej. Nie dotyczy tego, co w utworze tym najpiękniejsze, najbardziej wartościowe artystycznie (np. opisów przyrody, obyczajowości, życia rodzinnego, miłości do ziemi). To zadanie dla literaturoznawcy, a nie socjologa.

RYSZARD RADZIK,

ROCZNIKI HUMANISTYCZNE
TOM LIII, ZESZYT 7 – 2005

1 M. Muszynski. Nieśmiertelna księga, w: J.Kołas, Nowa Ziemia, przel. Cz. Seniuch, red. J.Januszkiewicz, Mińsk 2002, s. 22-23.

2 M. Muszyński. Nieśmiertelna księga, w: J. Kołas, Nowa Ziemia, przeł. Cz. Seniuch, red. J.Januszkiewicz, Mińsk 2002, s. 22-23.

3 Mieszkająca wśród Poleszuków Emma Jeleńska pisała na pocz1ttku lat 90. XIX wieku o mentalności tamtejszych chlop6w, iż «ukraść coś od pana. to tylko pół grzechu; od Żyda to prawie zasługa, lecz od sąsiada. włościanina. to bardzo źle» – E. Jeleńska, Wieś Komarowicze w powiecie mozyrskim. odbitka z t. V ,, Wisły», Warszawa 1892. s. 54; podobna, mentalność prezentowali wówczas chłopi wielu innych społeczności etnicznych tej części Europy.

4 J. Janusz k i e w i c z, Przedmowa, w: Kołas, Nowa Ziemia ... , s. 896.

5 M. C z u r a k, Komizm w białoruskiej prozie ludowej, Wrocław 1984, s. 32-38.

6 Jeleńska, Wieś Komarowicze ..., s. 52.



Prezentujemy fragment listu pana Ryszarda Burczaka-Abramowicza z Białej Podlaskiej Pan Ryszard pisze: «Urodziłem się w Kobryniu na Polesiu i pamiętam tę ziemię i gehennę 1939 r., kiedy to zginął mój ojciec w obronie Ojczyzny, mając 37 lat. Zostaliśmy z matką bez dachu i chleba, u obcych ludzi, do 1945 r., kiedy to zostaliśmy ewakuowani do Polski – zostać nie mogliśmy, gdyż groziła nam Syberia – ojciec był legionistą, piłsudczykiem. W dowód tęsknoty za Polesiem przesyłam mój własny wiersz, może nie najlepszy, ale od serca pisany».

I KTO MI ZABRONI?

I kto mi zabroni wspominać
sielankowy krajobraz Polesia.
I kto może przekreślić mą pamięć
upadków, cierpień, uniesień.
Nikt nie wykreśli z pamięci
mego domu, pięknego, rodzinnego,
takiego poleskiego, przytulnego, drewnianego,
tak bardzo od dzisiejszych odmiennego.
I pożogi wojennej zapomnieć nie zdołam,
śmierci ojca i życia tułaczego,
biedy, głodu, chłodu i nędzy.
Nie dziwcie się, kiedy zapłaczę.
Kiedy mijają sny moje koszmarne,
widzę, jak anioł mój niesie
Pierwszą Komunię w kobryńskim lesie
i otwiera przede mną Polesie –
krainę natury, którą Bóg stworzył –
nieprzebranych dóbr, pól, łąk i lasów,
enklawę ciszy i słonecznych promieni,
równiny przepięknej w kolorach atłasu.
I niech w mej pamięci ten obraz zostanie,
aż przejdę na życia drugą stronę rzeki
z obrazem Polesia w moich genach,
które tu zostawiam na wieki

